

B
WF
UW

10430

OSPODARSTWA SPOŁECZNEGO

1880—1900

BRONISŁAW BIAŁOBŁOCKI

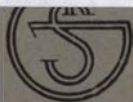
SZKICE LITERACKIE

Połączone Biblioteki WFIS UW, IFIS PAN i PTF

U.10430



39010430000000



1 9 3 2

W A R S Z A W A

INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO

<http://rcin.org.pl>

SZKICE LITERACKIE

H - 120988

10430

INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO

1880—1900

BRONISŁAW BIAŁOBŁOCKI

SZKICE LITERACKIE



1 9 3 2

W A R S Z A W A

INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO

Seminarium Socjologiczne
UNIwersYTETU WARSZAŃSKIEGO

~~W. Y. no. 3161~~

O d b i t o

800 egz. w drukarni

„U N I V E R S U M”

Warszawa, Oboźna 9

Tel. 733-28



10430



Bronisław Białobłocki

Przystępując do wydawnictwa, które wydobędzie z zapomnienia naszych publicystów i pisarzy socjalistycznych z okresu lat 1880—1900, Instytut Gospodarstwa Społecznego spełnia obowiązek oddawna na nim ciążący.

Lata 1880—1900, a zwłaszcza pierwsze ich dziesięciolecie, są okresem, kiedy w życiu naszym społecznym w b. Kongresówce, na łamach pism legalnych, zaczynają rozbrzmiewać nowe hasła. Pod względem politycznym są to hasła stanowczo i wyraźnie biorące rozbrat ze sformą postawą społeczeństwa wobec rządu rosyjskiego. Ze stanowiska społecznego to pokolenie młodych publicystów wysuwa, w charakterze credo zasadniczego, obronę praw ludu pracującego, jako wielkiej siły dziejowej jutra społecznego — chodzi mu o przyspieszenie ocknięcia się tej siły, o uświadomienie jej czem jest i czem być powinna.

Szermierzom tych haseł, co pierwsi pomiędzy tłumy czytelników rzucili posiew nowych idei i nowych widnokręgów, sprzyjało powodzenie gdy rozważać będziemy skutki ich działalności, ale zgoła

nie poszczęściło się, gdy chodzi o pamięć ludzką w stosunku do ich zasług.

Nie poszczęściło się z wielu powodów.

Po pierwsze, historycy nielegalnego ruchu socjalistycznego, a więc Feliks Perl (Res) i Ludwik Kulczycki (Mazowiecki), unikali zbyt wyraźnego dotykania tej sprawy. Pisarze znaku społecznego byli w różny sposób, lecz zawsze bliski i serdeczny, związani z ruchem nielegalnym. Niektórzy tkwili wśród emigracji, zmuszeni do opuszczenia kraju w następstwie swojej działalności rewolucyjnej. Działalność tych, którzy pozostawali w kraju, zaczęła się na każdym kroku z działalnością nielegalną. A wszyscy uważali działalność swoją za swego rodzaju pracę wstępną: byli w położeniu więźnia w Cytadeli, porozumiewającego się z sąsiadami pukaniem w mur — bardzo niedoskonałym, bardzo niedokładnym sposobem rozmowy. Pukali piórem, ufni, iż czytelnik będzie umiał czytać pomiędzy wierszami i wyczyta tam to czego nie dojrzał cenzor: obnażali istotną treść ideologii publicystów i uczonych warstw posiadających, przemycali założenia swego poglądu na świat, krzesali obumarłe poczucie godności społecznej wobec władz rosyjskich. Ale wielu rzeczy, zwłaszcza natury politycznej, nie mogli jasno, wyraźnie wypowiedzieć. Czytelnik odczuwał to o czym musieli milczeć, lecz nie zawsze wyciągał wnioski należyte. I dlatego rozumieli dobrze, iż działalnością swoją legalną rzeźbią jak gdyby literę i w jej zrębie pionowym po to, ażeby działać nielegalni nad nią postawili kropkę. Wypa-

dało im żyć niekiedy wśród nieustającego pościgu ze strony żandarmerji. Historycy ruchu socjalistycznego pojmowali tę sytuację i milczeniem pomijali działalność placówek legalnych. A nawet, gdy potracali o jakieś nazwisko, czynili to bardzo powściągliwie, zawsze dla złagodzenia skutków tej wzmianki dorzucając wyrazy łagodnego przekąsu.

Powtórę, upłynęło lat trzydzieści, a nawet pięćdziesiąt od owych czasów. Nad Polską przewalily się wydarzenia, które głęboko przeorały całe nasze życie polityczne i społeczne, a przede wszystkim ziszcily wiele marzeń owego pokolenia. Ale jednocześnie pokryły niepamięcią czasy wcześniejsze, a w tej liczbie pierwszych siewców protestu politycznego i społecznego w publicystyce legalnej. Już rewolucja 1905—1908 roku częściowo zmiotła pamięć o dawnym pokoleniu i wytknęła nowe drogi dla naszej myśli społecznej i czynu politycznego. Wojna wszechświatowa jeszcze potężniejsze wywarła skutki: pomiędzy tem co było przed wojną, a tem co nastąpiło po niej, wyżłobiła głęboką przepaść w świadomości ludzkiej—ludzie, czyny, zdarzenia, wszystko to poszło w niepamięć, nawet u tych, którzy jako pisarze kształtują ideologję chwili dzisiejszej. Czasy, liczbą lat bliskie, stały się tak odległe przeżytemi wrażeniami, iż moc rzeczy zniknęła ze świadomości ludzkiej. Nawet nad przeszłością stosunkowo niedawną, o ile nie wiązała się bezpośrednio z legendą, jaka kiełkować zaczęła po wojnie i przedstawiać dawne lata pod swoim kątem widzenia, położył się grubą warstwą kurz dziejowy. Niepamięć taka tem bar-

dziej dotknęła czasy one, iż działalność pisarzy ówczesnych, którą zamierzamy odtworzyć w szeregu wydawnictw, jedynie w paru wyjątkowych wypadkach odlała się w kształty książki. Byli to bowiem przedewszystkiem publicyści, krzewiący swoje poglądy na łamach ówczesnych tygodników postępowych. Obecnie w świadomości ludzkiej zatarły się nawet nazwy tych czasopism...

Bibliotekę publicystów lat 1880 — 1900 traktujemy jako przyczynki natury historycznej. To znaczy: wydajemy je nie w imię tego, iż pod względem treści posiadają i obecnie dużą wartość — niektóre z wypowiedzianych tam poglądów stały się z biegiem czasu powszechnie przyjętymi założeniami, i tem samem zestarzały się, ale jako drogowskazy myśli naszej społecznej w jej rozwoju, w końcu jako coś w rodzaju pomnika nad grobowcami, — grobowcami zasłużonych, ale zapomnianych.

Rozpoczynamy od przedruku przyczynków Bronisława Białobłockiego. Jego zniesienie ideału było w prasie legalnej pierwszym znanym mi uderzeniem w pełne lojalnej sforności i wyidealizowanego sobkostwa ówczesne poglądy i widnokreśli kierowniczych kół inteligencji. O roli B. Białobłockiego w ocknięciu się tego poczucia, iż ówczesna Polonia irridenta — nieprzejednana zarówno pod względem społecznym jak i politycznym! — musi zająć legalne placówki natury publicystycznej,

była mowa w Niepodległości¹⁾). Tam podano nieco szczegółów biograficznych, zresztą bardzo skąpych, o tym zapomnianym doboszu społecznym. Przybył do Warszawy poprzez Petersburg z zapadłego zaścianka białoruskiego. Rodzina w domu posługiwała się białoruszczyzną, w szkołach uczył się w języku rosyjskim, po polsku jedynie modlił się w wieku dziecięcym. Ta przeszłość miała mścić się na jego późniejszej działalności pisarskiej — kompletnie borykał się z językiem polskim, który w każdym wierszu platał przykre mu niespodzianki. Aż B. Białobłocki, świadom tych trudności i zrażony niemi, zniechęcił się do pisania. Przeszłość zaciężyła i w inny sposób — nędza w jakiej w ciągu wielu lat przebywał, nadwątlila organizm, zresztą bardzo krzepki, ale nie o tyle, ażeby oprzeć się chorobie piersiowej w połączeniu z niedomaganiem serca. B. Białobłocki skończył życie w wieku lat 27, a więc właściwie u progu możliwej swej działalności pisarskiej. Pierwszy z pośród socjalistów polskich wziął pod pióro krytyczne twórczość beletrystyczną: przypisywał powieści niezmiernie znaczenie, jako temu rodzajowi twórczości, którego dzieła docierają do najrozleglejszych i najmniej rozkochanych w książce kół czytelnicznych i tam pozostawiają po sobie w umysłach osad sympatyj i antypatyj, łaknień i dążeń natury społecznej, niejasny, niewyraźny, niekiedy bardzo ujemny. Zadaniem krytyka jest przekucie tych mętnych obrazów i kielkujących uczuć w myśl

¹⁾ L. Krzywicki: Na marginesie jednej fotografii (Niepodległość, tom III 1931, zes. II, str. 209 — 225).

społeczną świadomą dróg swoich. Korzystając z takiego rozległego krzewienia się powieści, krytyk kroczy jej śladami celem należytego oświelenia bohaterów powieści, ich otoczenia społecznego i wartości społecznej ich czynów. Wpływ jego jest głęboki, rozległy, a przynajmniej takim być może. Wykształcony na radykalnej literaturze rosyjskiej, marzył o odegraniu u nas roli, jaka w Rosji przypadła zwiastunowi takiego poglądu na zadania krytyki—Dobrolubowowi. Po B. Białobłockim będą usiłovali pójść w tym kierunku w latach 1880—1900 inni: zmarły przedwcześnie Bronisław Chrzanowski, a przedewszystkiem utalentowany Leon Winiarski. W książce niniejszej umieszczamy wszystkie prace B. Białobłockiego, o których coś wiemy, prócz paru drobnych przyczynków sprawozdawczych i polemicznych. W latach 1883—1889 przebywałem zdala od Warszawy i nie mogę w tym względzie korzystać ze wspomnień osobistych, z których użytkowałem dla początkowych tworów jego działalności pisarskiej. Rzecz jest tem trudniejsza, iż nie zawsze podpisywał swoje artykuły i wogóle nawet w artykułach podpisanych poprzestawał często na inicjałach lub skrótach. A do tego Przegląd Tygodniowy z nadmiaru ostrożności unikał w rocznym spisie rzeczy drukowanych przytaczania nazwiska autora, podpisanego jednak pod artykułem w tekście, ale podejrzanego pod względem politycznym.

Pozwoliliśmy sobie w przedrukach tutaj zamieszczonych na niewielkie zmiany, gdy chodzi o język: niekiedy rusycyzmy wtargnęły tak bezwstydn-

nie do przyczynków drukowanych B. Białobłockiego, iż nie mogliśmy pozostawić ich w takiej zbyt wyuzdanej postaci. Inne zwroty acz rażące, ale nie tak jaskrawe, pozostawiliśmy bez zmiany — i one przecież coś mówią o dobie ówczesnej! A może jeszcze więcej powiedziałyby zwroty przez nas nieco zmienione...

LUDWIK KRZYWICKI

Warszawa, dnia 31 grudnia 1931 roku.

Podajemy spis przyczynków, które wyszły z pod pióra B. Biablockiego. Wszystkie były drukowane w Przeglądzie Tygodniowym lub w Dodatku Miesięcznym do niego. Są to:

Rok 1883:

Życie fikcyjne i obrzędowe (Deotyma), Prz. Tyg., Nr. 16—19.
Miłość w sferze dostatków i estetycznych zachwytych (W. Marrené-Morzkowska), Prz. Tyg., Nr. 25-27.
Marji Konopnickiej poezje, Prz. Tyg., Nr. 31.
Współczesna beletrystyka rosyjska: 1. Hleb Uspienski (Iwanow) str. 232—248; 2. Mikołaj Złatorwatski, str. 587—612, Dodatek Miesięczny do Prz. Tyg., I półrocze.

Rok 1884:

E. Dom.: Kobieta i wiedza (recenzja), Prz. Tyg., Nr. 2.
Zniżenie ideału, Prz. Tyg., Nr. 7.
Nadprodukcja inteligencji, Prz. Tyg., Nr. 21.

Rok 1885:

Szkice estetyczne p. Massoniusa (recenzja), Dodatek Miesięczny do Prz. Tyg., I półrocze.

ŻYCIE FIKCYJNE I OBRZĘDOWE

Przyczynek do studjum nad Deotymą i kierunkiem
naszej literatury

Sławny krytyk francuski Saint-Beuve twierdzi, że chcąc poznać autora musimy zbadać sferę jego narodowościową, duch czasu którego był jednym z działaczy, prąd którym był owiany, warstwę z której wyszedł, rodzinę, wychowanie, pogląd jego na religję, moralność, pieniądze, a nie tylko zapatrywania się jego na te rzeczy, lecz i rzeczywisty stosunek do nich, bogatym był czy biednym. Nawet usposobienie i tryb życia studjowanego pisarza powinny mieć wpływ na sąd krytyka o autorze, dla tego, że wszystkie te okoliczności w pewien sposób wpływały na ukształtowanie postaci literackiej i bez najdokładniejszego poznania wszystkich szczegółów przejawy ściśle należące do literackiej działalności mogą pozostać niewytłumaczonymi. Takie sekcje literackie dokonywa się z łatwością i zręcznie jedynie względem pisarzy umarłych, lecz tylko wtedy godzi się przedsiębrać pracę, kiedy wyjaśnienie wybitnych przejawów literackich okupuje niezawsze miłą woń,

jaka się wydziela przy tych operacjach. Mniej więcej trafia się to zawsze, kiedy pisarz jest wielkiego talentu i wpływu.

Co do nas, nie będziemy dokonywali takiej sekcji nie tylko dlatego, że Deotyma, o której chcemy słów kilka napisać, żyje, a materiałów biograficznych skąpą ilość posiadamy, ale i dlatego, ponieważ sądzimy, że i po najdłuższym obyżyciu autorki Polski w pieśni nikt się oto nie pokusi; na publiczność nie wywiera żadnego wpływu, a talent jej jest rzeczą, którą trzeba warunkowo rozumieć, bo nowych dróg nie utorowała w literaturze, a na starych lekko, swobodnie i z elegancją stąpając, nie zostawiła śladów widocznych.

Pocóż więc piszemy artykuł o pisarzu, który podług nas jako literat, artysta i myśliciel, wcale nie zasługuje na szerszą uwagę?

Odpowiemy.

Oto według nas Deotyma przedstawia interesujące zjawisko nie pod względem literackim, lecz społecznym.

I tu jest punkt z którego patrząc, można, zdaje nam się, coś ciekawego powiedzieć.

Spróbujmy tylko!

Większa część życia normalnego rzesz ludzkich pochłonięta jest najpierw przez pracę na codzienne utrzymanie własne i rodziny, a powtóre na pilnowanie pewnych interesów i starania o osiągnięcie pewnych celów. Odpoczynek, rozrywka i zabawa stanowią mniejszą, czasami bardzo małą część tego życia. Lecz są warstwy nie potrzebujące pracować na swoje utrzymanie, nie poczuwające się do obro-

ny jakichbądź interesów i przeprowadzania celów w życiu. Czemże zapelnia się to życie w takim razie, jakie piętno wytłacza ono na umyśle i uczuciach prowadzących je jednostek? Okropne to życie z okropniejszymi jeszcze skutkami swemi przedstawiają w całokształcie pisarze realiści, a jak u nas wspomniała pod tym względem jest Orzeszkowa. W utworach Deotymy nie spotykamy wprawdzie świadomej charakterystyki warstw wyższych. Bezwiednie w swych produkcjach odtwarza ona typ przeciętnej dobrze wychowanej kobiety sfer arystokratycznych i bogatych, co jest ciekawym materiałem do zbadania zasobów intelektualnych i moralnych obecnej kobiety polskiej. Na zasadzie rozbioru dzieł Deotymy chcę uwydatnić momenty profilu kobiety jej sfery, żyjącej i poruszającej się według form ustanowionych przez tradycję i modę, ożywiającej je fikcjami religij i sztuki, oraz wiedzy, aprobowanemi przez kościół.

Pani Jadwiga Łuszczewska urodziła się pomiędzy 1830 a 1840 rokiem, gdyż w tej niepewności zostawiają nas jej biografje. Kształciła się pod przewodnictwem najcelniejszych nauczycieli, jako to Dominika Szulca, Antoniego Wagi i innych. Około 1853 roku zadziwiła licznych gości salonu swoich rodziców darem improwizatorskim. Pierwsze poezje wydane zostały w 1854 r., później kolejno przychodziły na świat i inne utwory do 1862 r.: *Tomira* (misterjum), *Improwizacje i poezje, poczet II. Polska w pieśni—Lech, Polska w pieśni—Wojna olbrzymów* i t. d. Krytyka głosi, że improwizacje te i poezje odznaczają się nie siłą uczucia, lecz

głębokością myśli i erudycją. W dziełach swoich z tego perjodu Deotyma wygłasza rezultaty swoich badań nad dziejami ludzkości, lub życiem przyrody. Poetka czerpała materiał dla swej fantazji „w zdobywczach“ wiedzy nie zaś w „obserwacji życia“ rzeczywistego. Od 1863 r. przez dość długi czas towarzyszyła swemu ojcu w czasie pobytu jego w Rosji. Na tę epokę wypada wielka przerwa w jej działalności literackiej. Dopiero od 1873 r. dają się spotykać nieliczne jej twory i w samym końcu siódmego, oraz na początku ósmego dziesiątka, Deotyma znów obdarzyła publiczność nietylko poezjami, lecz i obyczajowymi powieściami: *Krzyż nad otchłanią* (w *Ateneum*), *Na rozdrożu* (Warszawa, 1877) *Zwierciadła na zagadka* (Warszawa, 1879) i t. d.

Z krótkiej tej biografji poetki widzimy, że otrzymawszy staranne wychowanie w domu rodziców i nie mając sposobności zebrania w nim żadnego zasobu obserwacyj życiowych, zaczęła zawód pisarski. Okoliczności rzuciły autorkę na obczyznę, zmusiły do przyjęcia całego mnóstwa zupełnie nowych wrażeń i zastanawiania się nad szeregiem ściśle życiowych zagadnień. Naturalną byłoby przeto rzeczą oczekiwać stanowczych w niej zmian, nietylko w sferze przedmiotów opisywanych, lecz nawet w metodzie, stylu, ideach, jako wynik rozszerzenia widnokregu umysłowego. Jeżeli zaś wypadki odbijają się od duszy jak groch od ściany, nie zostawiając najmniejszych śladów, to bezsprzecznie można wnioskować, że dusza tak wspaniała jest w żelaznej swej mocy,

lub co prawdopodobniejsze, że dusza tak niezdolną jest wcale rozwijać się według normalnych praw życia.

Nie będę tu porównywał pojęć Deotymy co do wszystkich kwestyj w których się wypowiedziała; zauważę tylko, że nie zachodzi żadna różnica pomiędzy pierwszym i drugim perjodem życia w jej idealach.

Dla uwolnienia się od zarzutów gołosłowności, porównam tylko najpierw jej sposób ujmowania artystyczny, a potem pojęcie o miłości w każdym z okresów twórczości poetycznej Deotymy.

Poetkę zachwycają kamienie, a osobliwie drogie, chce oddać urok przez nie sprawiany w poezji, więc piszę wierszowaną dysertację mineralogiczną wierszem, jeżeli nie tak błyszczącym jak djamenty, to z pewnością twardszym, niż najtwardsze kamienie ważone na karaty.

Piękna to rzecz kwiaty, ale poezja zrodzona pod wpływem i z werwą kwiaciarki tuluzkiej (*Flora Tuluzy*: kwiaty) opiewająca rozmaite zabobony i symbole przywiązane do kwiecica paproci, rzepichy, pasyflory i t. d. żadnej, ale to żadnej niema w sobie piękności.

Że widok wspaniały nieba gwiazdzistego, albo potęga nauki badającej je, astronomji, może wprawić człowieka w zachwyt i może być źródłem pięknej poezji — to rzecz naturalna, ale by nachwytałwszy wiadomości gminnych (guseł), mitologicznych (greckich), historycznych o astronomach, ściśle astronomicznych o ustroju i formowaniu się systemu planetarnego, dodawszy do tego wszystkiego wonnych

olejków patryjotycznych (Kopernik — polak), upiec z tego jajecznicę-poezję pod tytułem *Astronomia* — na to nie każdy się odważy.

Albo spójrzmy na większe utwory, na Polskę w pieśni. Więcej niż połowa tych utworów wypełniona jest rozmaitego rodzaju wierszowaniami opracowaniami z dziedziny ścisłej wiedzy. W wojnie olbrzymów poetka nie przepuszcza nam ani jednej ze swych wiadomości o dziejach bajecznych Polski i wylicza najgorliwiej ludy, które istniały, a może i nie istniały. To na kilku stronicach wyszczególnianie wszystkich ryb, to najsumienniejsze powiadomienie czytelnika o tem, jakiego źródła bywają rodzaju, ten katalog wszystkich rzek polskich, dokładniejszy niż w geografji Lelewela, te lekcje mitologii albo lingwistyki słowiańskiej kończące się:

Wtedy gród każdy, każda wioska miała

Szów bóg-gaj święty, gaj święcony bogu...

świadczą o mozolnych jej studjach dyletanckich, ale nigdy nie mogą być poezją... Potwierdził to ogół i Polska w pieśni mimo rozgłosu nadanego jej przez prasę, mimo pretensyj do zajęcia stanowiska elementarza narodowego, nigdzie nie wywołała zajęcia i dziś śpi na półkach księgarskich, jak wiele innych poronionych płodów.

Powyżej wzmiankowane utwory odnoszą się do okresu między 1854 — 1859 rokiem.

A teraz zobaczymy powieści z 1877 — 1879 r., a więc pisane po przerwie dwudziestoletniej.

W romansie *Narozdrożu* czytamy: „Dziś już trudno mówić o strojach męskich, gdyż to nie są stroje, ale poprostu odzież. I w tej jednak prostocie upa-

miętnia się wielki wypadek dziejowy: bezwiednymi twórcami surdutów i czarnych fraków są najprzód encyklopedyści, a po nich Dantony i Robespierzy. Od czasu to, jak świat zakochał się w równości, mężczyźni zapragnęli wprowadzić ją wszędzie i nawet w ubraniu wprowadzili równość brzydoty. „Kobiety nie doszły jeszcze do niszczącej osobistość, do wszystko pochłaniającej zarazy czarnego sukna. W ich strojach można jeszcze badać bieg historii“. I dalejże rozpoczyna rozpisywać się szczegółowo o modach, o osobliwościach, dobrych i złych stronach każdej mody — na kilku stronicach. Przechadzają się bohaterowie powieści po parku Łazienkowskim — daje to autorce powód do długich rozumowań architektonicznych, na których dnie leży szlachetna chęć udowodnienia, że pałac Łazienkowski jest najpiękniejszym gmachem w świecie! Rozumowania te idą tem głęziej autorce, że w pierwszym okresie pisała o architekturze rozprawę wierszowaną. Trzeba przyznać, że jej erudycja jest najróżnostronniejszą. Wykazuje ją nawet z powodu okoliczności mało obchodzących i drobiazgowych. „A jednak ja sama, choć nie mam najmniejszej słabości do Jockey-klubowej sztuki, choć ani jeżdżę konno, ani się znam na koniach — sama przyznać muszę, iż gdy raz na lat dziesięć trafi mi się być na takiej zabawie, w chwili wyścigu udziela mi się ogólna gorączka“. Dalej idą opisy, rozumowania i rozmaite wiadomości o Jockey-klubowej nauce, „której nie mogło brakować w dyplomie modnego młodzieńca“. Jeżeli barwność opisu wyścigów mogłaby być wyrazistszą, to natomiast głębokość rozumowań i obszerność wiadomości zadziwia i rozrzewnia...

Rozumowania Deotymy o umiejętnym bawieniu się są ciekawe nie tylko dlatego, że jeszcze raz stwierdzają tożsamość podejścia artystycznego do przedmiotu w dwóch okresach jej działalności literackiej, lecz posiadają wysoką wartość same przez się. „Dobre to były zwyczaje, owe robótki i nalewanie herbaty, którymi dawniej pannom ułatwiano ich cierniowe życie w salonie... Nie mówię o balach, co są niby amatorskim baletem, ani o rautach, co są niby amatorską musztrą. Tam panny mogą jaśnieć tańcem, albo strojem, mogą nawet zwycięsko wybrnąć z ułamków rozmowy, przerywanej orkiestrą, lub natłokiem; tam na koniec grają jakąś określoną rolę. Ale na mniejszych zebraniach ich położenie jest niejasne i musi mieć w sobie jakąś nielogiczność, kiedy wszyscy tak się boją salonów, gdzie dużo panien bywa, kiedy młodzież tak uparcie od nich ucieka. A jednak trudno powiedzieć, aby wszystkie były tępe i ograniczone, bo przecież z tych samych panien wyrastają mężatki, za których towarzystwem później ta sama młodzież goni“. Słusznie Deotyma objaśnia to skrepowanie panien: „Nie upłynie godzina a dziesięć razy po oczach rodziców lub ciotek spostrzeże, iż się niewłaściwie odezwała, nie rozumiejąc zaś o czym i kiedy, resztę wieczoru przemęczy pod przytłumionym postrachem admonicji, która ją na dobranoc czeka“. „Salonowa sztuka bawienia się, jak inne sztuki nadobne, nie przychodzi sama z siebie, ale potrzebuje studjów i posiada prawdziwe tajemnice rzemiosła. Najskuteczniejsza zapewne z tych tajemnic spoczywa w talentach“. Tu idzie rozumowanie prze-sypane trafnymi spostrzeżeniami i szerokimi tech-

niczności wiadomościami o rodzaju robótek i talentów (rysunki, śpiew i inne). „Milczące usta i spuszczone oczy nikogo nie rażą przy zajętych rączkach, a jeśli oczy te czasem błysną, jeśli usta te czasem zadźwięczą, sprawią wrażenie tem silniejsze, że mniej spodziewane. Herbata z machinką jest nierównie lepszą, niż dzisiejszy sposób roznoszenia herbaty przez lokai tak samo dlatego, że daje jakiegokolwiek zajęcie pannom“. „Młodzi zrywali się i rozpierzchali jak stado ptasząt, a starsi odnajdywali chwilę do wytchnienia i wolnych żartów. Panny, które u wielkiego stołu zajmowały podrzędne miejsca, za stołem herbacianym zabierały pierwsze: mogły znaleźć sto sposobów dogodzenia lub dokuczenia gościom, wymierzając im rozmaicie moc herbaty. Młodzież skupiała się dokola, pomagając i służąc pannom. Kamerdyner ani się już pokazał, bo od czegoż kawalerowie? Podawali cukier i przysmaczki, figle sobie płatali w przenoszeniu pełnych filiżanek, przytaczali co wieczór porównania do pięknej Hebe, a machinka szumiała swoim przytłumionym, choć wrzącym głosikiem. Ach, ten szum, ileż mi przypomina różnobarwnych wieczorów ubiegłych przez lat kilkanaście, kiedy w rodzicielskim domu codziennie częstowałam domowników lub gości“... Powieść *Zwierciadła na Zagadka* w większej połowie zapełniona jest różnymi wiadomościami archeologicznymi, historycznymi, przyrodniczymi, prawnymi, z magji, z alchemji. Cały ten natłok faktów, naturalnie niezgrabnie oddreptuje taniec salonowej mądrości. Jeden tylko przeblysk uczucia, podobny do szczerego, znalazłem w tej powieści, a to tam, gdzie autorka rozmyśla, jaka by to

nieoceniona dla ludzkości była korzyść, gdyby rzeczywiście posiadano „zwierciadlaną zagadkę”— a osobliwie autorowie i poeci z jak małym nakładem pracy i jakie dokładne mogliby robić opisy przeszłości.

Mówiłem o sposobie podejścia artystycznego do przedmiotu.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę wątek, bajkę utworów, to zauważyć musimy, że w poezjach pierwszego okresu wątek jest albo żaden (np. wyliczanie tęczy kolorów i przypinanie do każdego koloru jego symbolu) albo wzięty z mitologii greckiej, lub jakiej innej, albo z podań chrześcijańskich, albo z dzieł mistycznych i t. d. Największych jej poezyj wątkiem są bajki kronikarskie o dziejach pierwotnych Polski. W drugim okresie z jednej strony pozostaje poezja z wątkiem utkany z dziejów polskich, z drugiej powieść obyczajowa, w której intryga, rozwiązanie i rozwiązanie naszkicowane są cudownymi, niemożliwymi wypadkami. Tu widocznym jest wpływ szkoły romantycznej, tajemniczej, uroczej i wcale nieskrępowanej wymogami logiki i zdrowego rozsądku. A więc co się tyczy zewnętrznej artystycznej strony dzieł Deotymy to śmiało można twierdzić, iż od pierwszego aż do ostatniego, wszystkie są równej wartości, postępu żadnego tu nie ma i o nim mowy być nie może. Deotyma staje przed nami jako istota zamknięta, skończona, bez żadnego rozwoju ani w pojęciach, ani w ideach, ani w wyobrażeniach, ani w sposobach ich oddawania jako sztuka literacka. Jej wiersz z przed dwudziestu laty jak i dziś jest równie skończony, harmonijny swym chłodem, i zarówno nie zadruga, czy opisuje minerały, czy uczucia serca ludzkiego.



Jeżeli na jaką kwestję, to zdaje się przedewszystkiem na miłość pogląd człowieka w rozmaitych okresach życia jego stanowczo się zmienia.

Rozpatrzmy zapatrywania Deotymy w tym względzie w r. 1858.

Prosty rybak z nad Wisły, którego postawie

To nadawało czar dziwnie uroczy
Że złote włosy, a czarne miał oczy,

zakochał się w bogini Wisły — Wisławie, naturalnie pozyskawszy wzajemność.

I odtąd co dzień, przez dni i przez lata
Od wschodu słońca do zachodu słońca
Młodzian z boginią, zapomniawszy świata
Pędzą rozmowy bez końca, bez końca:

Po siedem godzin w milczeniu pędzili
I tylko wzrokiem od chwili do chwili
Dziwnie wymownie z sobą rozmawiali.

Tak się kochali rybak z boginią! Nareszcie bogini robi rybaka królem, który roznosi chwałę imienia polskiego we wszystkie strony, upokarza Duńczyków. Duńskiego króla piękna córka, Hilda, pragnie oczarować bohatera, by zniszczyć tego wroga ojczyzny:

I biegną chwile, i godziny biegną
I coraz wolniej bucha kadzielnica
I coraz ciemniej, jak sen gorączkowy,
Myśli mu w dziwną płaczą się zawilość...
I coraz gęściej na źrenice jego
Zachodzi obłok uludny zachwytu...
Ale to wszystko, to nie była miłość;
Miłość ma jasne, pogodne oblicze,

Miłość się zdaje rozkazywać światu,
A to uczucie było niewolnicze,
Smutne, podobne do sztucznego kwiatu,
Co nosząc wszystkie pozory rozkwitu,
Zawsze bezwonnym i martwym zostanie.
Nie, to nie miłość, to oczarowanie.
Już więc, o Hildo, masz go w twojej mocy!
Porzucił wojnę, i uczył i chwaleb,
Drżący przed każdą chmurką na twem licu,
Przy twoich stopach przepędza dnie całe,
I choć odejdzie, nawet w pośród nocy
Pod wieżą zamku błądzi po księżycu...
...myśl nadaje różną
Od myśli przeszłych; pogląd fałszywy
Narzuca oczom, lecz sercem nie zmienia.
On w sercu wiernym pozostał Wisławie,
Tylko płonnemi dręczony wyrzuty,
Myślą i wzrokiem do Hildy przykuty,
Walczył i walczył, a walczył napróżno,
Bo siła czarów jest nad ludzkie siły.

Idą usiłowania, prośby, groźby, przymilania się, podstępny króla, używane przez niego względem Hildy w celu uproszenia jej, aby zdjęła zeń czary. Hilda zaś pokochawszy króla nie zabija go, jak by mogła to zrobić, lecz i nie chce zdjąć czarów, bo widzi, że wnet straci jego serce.

A teraz — jak Deotyma, opuściwszy niebo i wyszedłszy z piekła, w 1877 r. maluje obrazy miłości, bez współdziałania bogiń i wróżek, tylko pozostawiając wiecznie baczne na ludzkie sprawy oko Opatrzności.

Przytoczymy te ustępy z powieści Deotymy, które mówią o miłości nowożytnych bohaterów, jakimi dziś lubi się otaczać autorka.

Irena Zapolska nie miała w swej enocie nic nudnego, nic *collet-monté*. Nie gniewała się ani

o drażliwy żart, ani o wybuch serca; tylko na żart odpowiadała sercem, a na serce żartem. Nikt nie mógł z nią zająć dalej, niż jak po pierwszych dniach znajomości, a jednak każdy Bóg wie co roił, a ona się ze wszystkich naśmiewała. „Razu jednego w długiej rozprawie o uczuciach i powinnościach (Irena lubiła podobne rozprawy, bo też miała rzadki dar wymowy), gdy rozwinąłem (Odonicz) tezę, mającą dowieść, że mężatka bezdzietna jest mniej niż inne zobowiązana do strzeżenia tak zwanych zasad i choć troszkę je naruszy, mniej niż inne zawinia przeciw społeczeństwu, moja słuchaczka wybuchnęła nieudaniem oburzeniem, dowiodła mi jak dwa a dwa cztery, że każde złe jest równie złem wobec Boga, choć może mieć różną doniosłość w oczach ludzkich, że przysięga nie znosi żadnych zastrzeżeń w przyszłości, że czy się męża kocha czy nie, zawsze sakrament sakramentem“. Odonicz oświadcza Irenie, że się zastrzeli, jeżeli ta się zachowa względem niego oziębło. Irena na to: „czyż godzi się poświęcać własną duszę aby uratować bliźniemu życie? Powinniśmy się rzadziej widywać, aby nie kusić nieba“... Jakżeż się w takiej cnocie nie zakochać? Z miłości Odonicz zmizerniał i wychudł, aż z porady lekarskiej w Paryżu „rozrywek“ na bóle swe ciężkie szukać musiał. Jakoż tam je znalazł. Aktorka Romana pokochała Odonicza i oddała mu swe serce szczerze, bezwzględnie i bez zastrzeżeń, spytawszy tylko na wstępie, czy ją kocha i oświadczywszy mu, że swój honor i swoje uczucie sama umie cenić i bronić. Szukający rozrywek pan powiedział że kocha, kochać będzie. „Jest to rzecz dziwna, i na tryumf morali-

stów urządzona na świecie, że fałszywe obowiązki przynoszą najczęściej wszystkie ciężary prawdziwych, a nie przynoszą ani ich ulg, ani zaszczytów. Wprawdzie mówiłem sobie nieraz: Ba! przecież jak zechcę, to i zerwę“. Ale... mąż p. Ireny umarł. „Postanowiłem już co prędzej odczepić się od Romany i kolejno próbowałem wszelkich tortur, jakimi zdawało mi się, że zniechęcę moją ofiarę. Wytrzymywała wszystko z bohaterstwem, które mnie doprowadzało do rozpaczki“. W trakcie odczepiania się p. Odonicz udaje zazdrosnego. Romana podaje mu sztylet i mówi: „gdy zdradzę, masz prawo przebić mię tem“. „Tłumaczyłem jej, że Polak nie zabija bezbronnych niewiast i że w razie nieporozumienia, wolałbym nic nie mówiąc odjechać... Sztylet musiałem przyjąć, chociaż niechętnie, bo według zabobonu taki dar ma przynosić nieszczęście; ale że nie obiecałem go użyć, Romana... szepnęła mi z uśmiechem: Jeżeli książe ci zawadza, znam w Wenecji takich, co go cichutko sprzątną. W strachu przed kryminalno-policyjną burzą, cofnąłem się copędzej z roli Otella i pracowałem nad uspokojeniem Romany“. Ale odczepić się trzeba, więc dalej idą takie pytania: „Cobyś zrobiła, gdybym się ożenił? — Nie jesteś dzieckiem, ażeby cię ktokolwiek mógł przymuszać, a jeżeli się ożenisz, zabiję albo ciebie, albo ją. Nie... najprzód ją, a potem siebie. — Ja ruszyłem ramięmi i powiedziałem jej z pogardą, że nie rodziłem się w kraju bandytów, ażeby mi ciągle gadano o zabójstwach, że nie myślę kochać zbrodniarki, że zresztą wolno jej samej, jeżeli chce koniecznie, pójść w kajdany, ale mnie się takie żarty wcale nie podo-

bają, po czem wszytkiem trzasnąłem drzwiami i wyszedłem pozornie rozgniewany, w głębi duszy jednak tknięty straszną mocą tego przywiązania“. Irena po śmierci męża podróżowała i wstąpiła w Wenecji do teatru podczas gry Romany. Odonicz „jedeny raz w życiu doznał siły magnetycznej spojrzenia“ i naturalnie rzucił się do łoży Ireny. Romana pod wpływem oburzenia dosięga w swej grze szczytu doskonałości, porywa wszytkich i wszytko, wygląda zachwycająco. — Później robi wymówki Odoniczowi za piękną Polkę. Ten zaś na to: „Nie widzę w tem wszytkiem powodów gniewu lub rozpaczy. Co w tobie najlepiej lubiłem, to twoją wiarę i spokojność: nie psuje mi się teraz. O, lepiej powiem ci, że nigdy, ale to nigdy jeszcze nie byłaś tak piękną! W tym druidycznym stroju, nawpół już odpiętym, w tej miłosnej zgrozie, cała drżąca a palająca, wyglądałaś heroicznie, magicznie i mitologicznie“. Pod wpływem rozjątrzenia dawnych ran miłosnych, biedny Odonicz uczuł potrzebę uściskać i ucałować swoją bohdankę: „Nie mogąc złożyć ich u stóp Ireny, musiałem je przelać na jaką inną istotę. Po części więc z głodu sercowego, po części z popędu wdzięczności, tego wieczoru stałem się dla Romany czulszym, niż kiedykolwiek, tem czulszym, że to był niejako uścisk pożegnania. Chciałem pieszczotami uspić jej czujność, tkliwością rozchwiać podejrzenia“. Naturalnie, że się wkrótce wyrwał z objęć tej zbrodniarki. Pan Odonicz wytłumaczył Irenie, że w jego przelotnym stosunku z Włoszką nie można widzieć prawdziwej niewierności serca, „że przelotna światowa rozrywka w męskim życiu niema poważnego

znaczenia, że ich nie można sądzić według surowych, idealnych praw cnoty kobiecej“, że Romany nie kochał, a jeśli troszkę kochał, to tylko tą czysto ziemską, najniższą częstką miłości, która bez współdziałania duszy nie może zapełnić istnienia i niestety prędko się przesyca, i puścił się towarzyszyć p. Irenie w podróży. „Cała ta przejażdżka po Włoszech, przeszła dla mnie jak sen zaczarowany, bez owych gwałtownych wstrząśnień, które mnie przy Romanie na śmierć zameczyły. Z Ireną zapominało się prawie o namiętnościach a żyło się ciągle poezją serca. Był i tam jednak dramat nieustanny, tylko że osnuty na szczegółach drobniutkich, jak pajęczki. Co rano wstawałem niespokojny w jakimś zobaczeniu. Czy będzie równie uprzejma jak wczoraj? Czy mi rękę poda na spacerze? Czy w jej mowie dopatrzę jakiś zwrot życzliwy? Wszystkie te odcienie, na pozór leciuchne, dla mnie stawały się wypadkami, taką t. j. prawdą, że najmniejsze szczegóły nabierają ceny, gdy dotyczą kobiety co sama umie się cenić. A choć zawsze niespokojny, byłem jednak pogodny i taki wedle przysłowia: „jakby mię kto na sto koni wsadził“, bo wszystko działo się z uśmiechem i w dobrym tonie. Ach, wierzaj mi, niema miłości, niema rozkoszy, niema ideału, co by się długo ostały contre le mauvais genre“. Oszukana i porzuciona Romana goni za Odoniczem do Warszawy: „Jej widok nie rozbudził już nawet we mnie najmniejszego wzruszenia. Bo też straciła ostatnią broń swoją, ten zmysłowy urok piękności (ze zgryzoty powiedzmy nawiasem), który mię czasem podbijał... Oświadczyłem bardzo poważnie, że muszę stosując się

do ważnych układów rodzinnych, wejść w śluby małżeńskie, że to jest jednak mariage de raison“. Romana rzuca mu pod nogi pamiętki i listy: „Taka pogarda mocno mię dotknęła, ochłonałem jednak z obrazu... spostrzegłem i moje listy... Romana pozbawiała się broni, która w jej ręku mogła zawsze dla mnie być groźną“. „Już więc tylko ze staroświecką galanterją pocałowałem ją w rękę, a gdy drzwi za nią zamknięto, nie mogłem się nadziękować przeznaczeniu, że tak łatwo moją sprawę rozsądziło“. „W parę dni później, dla zachowania wszelkich praw przyzwoitości, rozjechaliśmy się (z Ireną) każde w swoją stronę i stamtąd dopiero w umówionym dniu i godzinie, spotkaliśmy się niby przypadkiem, na jednej z dalszych stacyj kolei żelaznej. Ale Romana gonila wciąż szczęśliwych i pan Odonicz dostrzegł to w Dreźnie: „Postanowiłem użyć nazajutrz wszelkich środków, chociażby policyjnych, aby się oswobodzić od tej fatalistycznej pogoni“. Zakończę ten ustęp ciekawym portretem Odonicza, przedstawiającym go już w bardzo dojrzałym wieku: „Siwieje... zachowuje jeszcze wszystkie powaby młodości, a pozbył się jej stron ujemnych, nadewszystko niecierpliwego pośpiechu i zarozumienia, na których miejsce zdobył spokój dyplomatów i dumę ministrów. Wtedy to on jest prawdziwie niebezpiecznym dla serc niewieścich. Kamień grobowy nie jest wytrwalej milczącym jak był Odonicz we wszystkich przedmiotach dotyczących serca. — Kiedy dziwactwa, to lordowskie, kiedy dowcipy, to paryskie, kiedy bachanalje, to rzymskie, kiedy orgja, to babilońska. A znalazł się po mistrzowsku na sztuce wydawania pieniędzy, bo to jest tak-

że sztuka, nawet kiedy mądra to piękna“. Siostrzeniec jego sądzi tak o nim: „Odonicz, którego wszyscy uważamy za wzór praktycznej filozofji, ów bezwyznaniowy, bezsercowy mędrzec, co życie zwykł brać z jego słonecznej strony, żeby ten człowiek osobiście obstałowywał wieńce i woził się z niemi po cmentarzach, to jest coś niepojętego. Byłoby nieobliczoną zdobyczą duchową, gdyby odkryli, że ten arcy-pozytywista wierzy jednak jeszcze w zagrobowe tajemnice“. Jakoż rzeczywiście wierzył...

Na mnie obie historie miłosne obok uderzającego podobieństwa, robią jeszcze wrażenie uczuć nieodczutych, obrazów wymarzonych, pokombinowanych z tego co się czytało, słyszało i co by się chciało samej odczuć, wiedzieć, doznawać...

Lub uchylmy zwołna kotarę dobrego tonu, tę podstawę życia według Deotymy.

Wiesław, łączący w sobie siłę męską z niewieścim wdziękiem, świetnie skończył wydział prawny, wszedł na urządowanie, skromne jak zwykle na początek i szczupło uposażone; nie śpieszył gorączkowo za życiem, potrzebował pracować, bo rodzice jego nie byli bogaci. Stał się więc modnym. Wszyscy pragnęli widzieć i mieć za gościa tego Antynousa z waszyngtonowską duszą (czytelnik wkrótce się przekona, jakie to pojęcie ma autorka o Waszyngtonie!). Trudno przysiąc, czy Wiesław kilkakrotnie ust nie zbliżał do czary zabronionych uciech. Wykołysany w patryarchalnych pojęciach, nie ważył się o bracie matki wytwarzać sobie niezależnego zdania. Zwierzchnik podał mu rękę: „Ten mały dowód współczucia od obcego człowieka wzruszył więcej, niżby go

w szczęśliwej chwili wzruszyły największe czułości. Wszystko czynił sumiennie, więc upadając od znużenia, bawił jak mógł swoje sąsiadki, ale w duszy wdychał tylko do cygara i szerokiego krzesła⁴. Narzeczona powiedziała mu, by przed ożenkiem pozyskał dobre stanowisko, dające środki do odpowiedniego życia. „Zwyczajny młodzieniec uczulby się pewnie zraniony i urażony. Wiesław przeciwnie. Jako człowiek, stawiający rodzinę nad jednostką, obowiązki nad uczuciami, uznał postępowanie Cecylji za takie właśnie, jakiego chciał od przyszłej żony... W tym celu stara się o wyższe stanowisko, nie szczędzi pracy, ani nawet zabiegów⁴. Że był religijnym, to się rozumie.

Cecylja, która z takim, jak nikt, „indyjskim wdziękiem trzyma parasolik⁴, robi „podarek maleńki — dla swojej mateńki⁴.

„Ale że z mateńką córka nigdy się nie rozdzielała, więc i tajemnicę trudno było utrzymać. Pani Irena udawała najczęściej, że nie widzi roboty: czasem znów udawała, że chce ją gwałtem zobaczyć; stąd pełno uśmiechów, przekomarzeń się i uścisków, z których wynikało, jak to mówią, sto pociech. Gdzie serce domem rządzi, tam najmniejsze drobnotki stają się cegiełkami do budowy szczęścia. Kochankowi swemu oświadcza: „Panie Wiesławie, losem moim ani chcę, ani powinnam sama rozporządzać. Wola matki, wola mojej świętej, drogiej mamy, będzie zawsze moją jedyną wolą⁴. Wyprasza się u matki, „rozweselić pustki domu⁴ nudnego. „Dobra to szkoła, w niej panienka wyrabia się niejako na siostrę miłosierdzia salonową⁴. Dowiodła

heroizmu. Bez wiedzy matki na swoją rękę działała, starając się z nią pogodzić byłego jej kochanka. „Wtedy w rozpaczy postanowiłam sama wszystko zrobić. Może to źle? Widać jednak, że nie, kiedy Pan Bóg błogosławił. Przepraszam najdroższą mamunię — wołała, całując kolana matki; już nigdy nie będę... ale na ten raz musiałam... cel uświęca środki“. Odkładając swój ślub powiada narzeczoneму: „Pan zapewne... użyjesz tego czasu, aby sobie zdobyć poważne stanowisko społeczne“.

Irena, piękna matka pięknej córki, wychowała się w takich warunkach życia i między takimi ludźmi, u których zbyt podniesienie głosu już się rachowało za objaw gwałtowności i to bardzo nagannej. Kiedy po łaskawem przyjęciu oświadczenia kochanka wyszła zamąż za innego, uniewinnia się w ten sposób: „Dałam się rozczulić, przyznaję, ale muszę dodać, że nie przyszło z mojej strony do żadnych przysięg, żadnych nawet wyraźnych obietnic; powinnam ten szczegół przypomnieć, aby pokazać, że mojem późniejszym postępowaniem nie zламаłam żadnej przysięgi“. Po śmierci nienawidzonego męża, „im mniej czułam smutku, tem sumienniej postanowiłam dochować żałoby i wszystkich zewnętrznych oznak żalu“.

Odonicz otwarcie objaśnia przyczyny swej dumy arystokratycznej: „Uczucie, które zowiesz pychą, a które mógłbyś łagodniej nazywać dumą, wyrobiło się we mnie bardzo silnie, właśnie przez poczucie mojej niedoskonałości. Znam samego siebie aż nadto dobrze, ale nie mam ochoty, aby drudzy mnie również dobrze znali. Przyjacielowi trzeba się wy-

wnętrzyć, trzeba mu otworzyć najskrytsze tajniki życia i serca, a z czegoż po większej części składa się życie ludzkie, jeżeli nie z omyłek i błędów? Taką szczerością nadawałbym drugiemu prawo sądu, uwag i nagany. O! byłoby to dla mnie zanadto upokarzające!“. Dobrze wychowany siostrzeniec oświadcza: „możesz mieć powiernika (mnie samego scilicet), potulnego, jak owi konfidenci z rasynowskich tragedyj, rodzaj sekretarza od serca, który będzie wszystkie twoje myśli zapisywał we własnej duszy, będzie płakał z tobą i uśmiechał się z tobą“. Odnicz ma lokaja: „Hubert posiadał wszystkie niemal języki, przytem wszystkie wybiegi molierowskie, wszystkie finezje wielkiego świata, dojrzone z za drzwi przedpokoju, nakoniec dyskrecję zdolną oprzeć się torturom i poświęcenie Seida“. Przygania Romanie, to, że „miewała napady pasji, w których jej się zdarzało uderzyć służącą; prawda, że ją nazajutrz obsypywała darami i przepraszała ze zbytnią, podług mnie, poufalością“.

Po tych na chybił trafił wziętych akordach z symfonji dobrego tonu, skomponowanej przez Deotymę, dam kilka oddzielnych uderzeń po klawikordzie jej dzieł. „Dla głębszych umysłów wielkość nie przestała i dziś być wielkością; ale umysłem miernym, a tych jest najwięcej, uśmiecha się ta zazdrosna teoria, co chce poniżyć jednostki, aby podnosić ogół. Co z tego wszystkiego wyniknie, wiadomo tylko niebu i... ministrom“. „Matrony umieją pochwalić z miarą, dowcipem, a czasem nawet z ową leciuchną dwuznacznością, na którą się i najcnotliwsza pod siwym włosem odważa... wiedzą one po

jakich ścieżkach dochodzi się do wszystkich zaklętych jaskiń ze skarbami życia i jeśli tylko młodzieńiec pozwoli im się z zawiązanymi oczami prowadzić, zawiodą go przez stopnie ołtarza do złotych kopalni i gwiazdzistych dostojeństw“. W miłosierdziu bywają wysoki, zakrawające na zbytek, rozkosze nadetatowe, których tylko najszczęśliwsi mogą sobie pozwalać“. „Małżeństwo... to istna loteria. Na milion ledwo jeden wielki los padnie, a i biedną stawkę nie każdy wygrywa“.

Że cała sfera dobrego wychowania i dobrego tonu jest głęboko religijną, o tem ani na chwilę wątpić nie można. Można tylko uważniej przypatrzeć się co stanowi treść tej religji. Jeszcze będąc młodą Deotyma dobrze wiedziała, że sprawczynią losów ludzkich jest czujna na wszystko Opatrzność, że wiedza „ma w bystrem oku blask cherubina lub strzał szatana“ (rok 1855). Przekonań swych nie zmieniła w niczem aż dotąd. „Jeżeli najmniejszą chwilę szczęścia trzeba ciężko odpokutować, to zaprawdę waga złego i dobrego dziwnie jest na tym świecie odmierzona. Tylko wiara w inne życie, gdzie się wszystkie szale zrównają, może pogodzić z tem, co zwiemy niesprawiedliwością losów. Lecz Bóg nieraz jeszcze i na tym świecie daje tryumf prawdzie. Oto i ja przed śmiercią doczekałam się chwili uniewinnienia i mam przedsmak lepszego żywota, kiedy to aniołowie będą za nami świadczyli“. Jedna z bohaterek, p. Marta, „teorje filantropijne zostawia ludziom książkowym, a sama tymczasem uwija się jak mrówka czyniąc miłosierdzie, bez planu zgóry wytkniętego, rachując na Opatrzność, która jej jakoś

nigdy nie zawodzi“. „Gdyby Napoleon przyjął propozycję Fultona, byłby globem zawładnął. Sam Bóg podawał mu berło świata, a on nie zrozumiał Boga“. Taka wiara jest koniecznym dopełnieniem i sformulowaniem życia bezwiednego, obrzędowego. Świat jest podzielony pomiędzy rodziny pańskie, mające dostateczne środki na utrzymanie. W tych rodzinach dzieci czczą rodziców, a rodzice kochają dzieci. Czyje interesa szwankują, ten się łąta przez bogaty ożenek lub urządowanie. Komu w ramach tego ustroju źle, kto nie zdołał zapomocą uświęconych tradycją sposobów podreperować się, to ten niech się nie puszcza w dziwaczną krytykę ustroju, lecz niech podziwia świętą wolę i niedoścignioną mądrość wyroków wyższych.

Jeden z bohaterów, p. Cezary, do damy arystokratycznego rodu odzywa się w ten sposób: „w kole moich znajomych są ludzie uczeni, ludzie miłujący postęp i światło“. Odonicz był „potentatem wiedzy“. „Zapolski miał naukę, i gruntowną i nie nużącą, bo cała się kryła pod ślicznym światowym polem“. Sama autorka często aż do znużenia rozprawia o rozmaitej wartości „skarbach“ wiedzy. Zobaczmyż, jakimi to „skarbami“ błyszczą jej dzieła. (Dwu nastu wo j e w o d ó w — rzecz się dzieje w latach 698 — 710):

Taki zapal (ich) pochwyca
Że dwie nazwy w owej chwili
Szlachetnego i szlacheica,
W sercu na jedną stopili...
O! gdybyż zawsze te słowa
Braćmi były pozostały!

Wyszomir (690 — 698) zrzuca z Pomorza jarzmo Danji, zwycięża króla duńskiego w jego własnem

państwie i na żądanie swego wojska oświadcza, że Polacy tylko własnych strzech pilnują, a na obce kraje nie są łakomi. Więc niech obierają sobie króla i żyją spokojnie. Trochę to nie zgadza się z historją, ale uczoność!

W opisach przyrody Deotyma odrzuca obserwację bezpośrednią, zastępując ją „głęboką uczonością“ (Polska w pieśni)

Odra... pędzi tak szalenie,
Że w biegu własne obdziera wybrzeża.

Do tego przypisek: „Odra, jakby odzierająca, ponieważ bystrym swym pędem ponosi łupy z gajów i pól“ (Długosz: Dzieje, Leszno, zeszyt II, str. 66).

„Któż wie zresztą, czy sen nie jest powieścią, którą mieszkańcy innych światów opowiadają duszy ludzkiej?“.

Zakończę charakterystykę stosowania nauki w sferze „dobrego wychowania“ jednym obrazkiem:

„Pamiętam, że raz w kółku dobranem rozbieraliśmy szeroko ten przedmiot (dlaczego każdemu się zdaje, że nikt przed nim nie kochał tak, jak on?). Różne przedstawiano poglądy. Nakoniec moja przyjaciółka odezwała się kilku słowami, pełnymi wielkiej prostoty i wielkiej mądrości, któremi od razu usta nam zamknęła. Mnie się zdaje — rzekła — że mówiąc tak, zakochani mówią tylko prawdę, bo każda para kocha się inaczej“. Idzie szereg skarbów wiedzy, z których posiadania i wypowiedzania Deotyma prawdziwie może być dumna, np. jak dwóch listków niema w przyrodzie zupełnie do siebie podobnych, tak samo niema dwóch jednakowych wy-

padków miłości. Cóż to za nauka, jaka to wiedza! Rzućmy okiem na jej dzieła od pierwszych poezyj aż do ostatniej powieści. Anegdoty historyczne, podania bajeczne wszelkich ludów, zabobony, faki-ki o wierze i charakterystycznych obyczajach, lapi-darne pojęcia o muzyce, poezji, teatrze, co ciekaw-szego z nauk ścisłych, z magji, nauki spirytystów t. d., i t. d. Mogę ciągnąć wyliczenia te do nieskoń-czoności, popierać cytatami z każdej stronicy każ-dego dzieła. Na cóż się to jednak przyda, co zrobi ten tłum, w którym z równą powagą stoją mistycz-ne dziewoje obok technika z młotem, chłop żegna-jący się przy spotkaniu zająca z astronomami wpa-trzonymi w niebo? A konwersacja?

Na zakończenie poglądy autorki na sztukę.

W 1853 r. poetka śpiewa, że anioł muzyki ujrzał jak:

Dziewczątko z srebrną się buja kołyską.
Światło w błękitnym kryształe zwieszone,
Z góry jej rzuca z szafirów koronę.
Anioł zdumiony jej wdziękiem nie z ziemi,
W tych się marzeniach rozplywa.
O, taka stanie między wybranemi,
Bo czyliż zgrzeszy, gdy będzie szczęśliwa?
Ma czułość ojca i pieszczoty matki,
Urodę, której tłumy hołd przynoszą,
Klucz wykształcenia dadzą jej dostatki,
Co są w chrześcijaństwie hojności rozkoszą!

W 1854 zaś roku brzmi pieśnią dziewicy:

.....
Najszczęśliwszy dziewie los!
Gdy ma igła jedwab plecie
Chwil przyspiesza srebrny strzał:
.....

Harfa moja wiarą dźwięczy,
Pióro szuka wiedzy bram;
Sztuki piękne! w waszej tęczy
Niech przymierze z niebem mam.

Być pieśczętą w rodzin gronie,
Rajskiej strzechy kochać próg,
Mieć żar w sercu, piosnkę w łonie,
To mi tylko kazał Bóg.

Większość poezji Deotymy są to improwizacje okolicznościowe. Z reszty — cała połowa jest napisana i przypisana rozmaitym hrabiom, księcom, poetom, malarzom, artystom, muzykom, a także siostram w duchu, z którymi, jak z księżniczką Janiną Czetwertyńską, Deotyma się знаła, „lecz gdzie? w marzeniu? czy w przeczuć mgłę białej”. Przypomnijmy rozumowania Deotymy o podnoszeniu uroku usteczek stulonych przez robótki i talenta (rysunki, muzykę, śpiew), zważmy, że i Wiesław uczył się muzyki, bo „chciał małe kwiatki dyletantyzmu uprawiać dla własnej rozkoszy“. Ze wszystkiego tego chyba wypadnie, że prawa „wiecznej estetyki“ dla Deotymy mają znaczenie środka podnoszącego elegancję form towarzyskich. Nie zmienia tego sądu poświęcenie powieści Na rozdrozu Kraszewskiemu, którego sens jest taki, że Deotyma miłując polską literaturę, chce poczet polskich powieści zwiększyć jeszcze o dwa tomy.

Znałem zdolnych chłopców, którzy w dwunastym lub piętnastym roku życia, naczytawszy się rozmaitych powieści, historyj, podróży i t. d., chwyтали za

pióro, i pisali wielotomowe opowiadania. Co w nich odtworzyć mogli? Jużci nie życie, bo tego wcale nie znali, lecz najpierw te marzenia o życiu, które w nich powstały pod wpływem cudzych zobrazowań, a następnie historyczne, etnograficzne i wszelkie inne wiadomości, jakie z książek w lot pochwycili. Choć nie uczestniczyli jeszcze w życiu, nie obserwowali rzeczywistości, a więc wcale nie znają życia, jednakże ich wyobraźnia maluje im jaskrawy korowód wszelkich wypadków, charakterów, zbrodni, poświęceń i oni śpieszą się coprędzej przelać je na papier. Nie rzeczywistym, ciągłym, dotykalmem, lecz wyczytanem, wymarzonem, fikcyjnym życiem żyją.

Gdyby młoda panienczka, nauczywszy się przypuszcmy teologii katolickiej, historii kościoła, polskiej i powszechnej, upstrzywszy to wstążeczkami z innych dziedzin wiedzy, uraczyła nas swemi wiadomościami w rymowanej formie i gdybyśmy *nota bene* spożywali te owoce w rękopiśmie, powiedzielibyśmy niezawodnie: panienka ma pociąg, a może i zdolność do rymowania.

O Deotymie zaś powiemy, iż pogrążona w kontemplacji odbierania wrażeń estetycznych, w rozkoszowaniu się „zdobyczami wiedzy“, chwilami wylewa te swoje wrażenia i zdobycze na papier: ale nic nie stworzyła, żadnego rzeczywistego dzieła sztuki.

Dlaczego? — niech odpowie streszczenie tego cośmy powiedzieli w powyższych uwagach:

1) Umysł Deotymy, nie zważając na cały nawał wrażeń życiowych i teoretycznych, nie przedstawia żadnych śladów stopniowego rozwoju. Zawsze i wszędzie jest odbiciem ech tradycyjnych i ortodoksyj-

nych pod względem wiary, moralności, nauki, sztuki bez żadnego nawet w swojej sferze udoskonalenia.

2) Wyobraźnia Deotymy zaprzątnięta jest całkowicie nie objawami życia, lecz odgłosami wrażeń, odebranych z dzieł sztuki, przemysłu i nauki.

3) Za jedyną podwalinę, utrzymującą życie społeczne, Deotyma uważa obrzęd raz ustanowiony i tradycyjnie uznany za „dobry ton“. Sprawiedliwe, słuszne i moralne czyny, są to czyny wykonane według wszelkich wymagań „dobrego tonu“.

4) Religja Deotymy jest to wiara w Istotę, ustanawiającą, dopełniającą i korygującą niedokładności szczegółów „dobrego tonu“.

5) Miłość idealna, nie szatańska, jest to wieczna gra w ciuciubabkę z odkrytymi oczami dwojga ludzi różnej płci, z zachowaniem form „dobrego tonu“. Jakaś gonitwa dwojga serc według ustanowionych prawideł.

6) Jedyne użycie z nauki to ożywienie konwersacji.

7) Sztuka nareszcie jest rozkoszą ducha i serc, gdyż pomaga się bawić w życiu przyjemnie i w dobrym tonie.

Na zasadzie powyższego twierdzę, że dzieła Deotymy są typem życia fikcyjnego i obrzędowego w pewnej ciasnej sferze. Jako takie, pozostają ciekawym dokumentem czasu, ale jak nie wywarły, bo wyrzucić nie mogły na współczesnych swego wpływu, tak i nie będą miały żadnego życiowego znaczenia dla potomności.

MIŁOŚĆ W SFERZE DOSTATKÓW I ESTETYCZNYCH ZACHWYTÓW

1). *Jerzy i Fragment* — powieści W. Marrené (Morzkowskiej), Warszawa 1882, 2). *Życie za życie*, powieść W. Marrené (Morzkowskiej), Warszawa 1883. Nakład M ó d P a r y s k i e h .

Czytelniczki M ó d P a r y s k i e h zapewne doznawały wielkiej przyjemności, rozczytując się w powieściach, których tytuły wypisaliśmy w nagłówku.

Wiadomo, że miłość jest najulubieńszym przedmiotem marzeń i rozmów naszych pań i panienek, w tych powiastkach wszyscy albo się kochają, albo innym pomagają się kochać.

Najsztudniejsze odcienie tej „królowej życia“, rozkosze i męczarnie jakie sprawia tym, co śmia się zbliżyć do jej ołtarza, przedstawiła pani Marrené z niepospolitym talentem. Zamiarem szanownej autorki zdaje się było przekonać swe czytelniczki, że muszą się kształcić, muszą rozwijać duchowo, bo inaczej nie mogą być szczęśliwymi nawet w miłości. Oby choć jedną kobietę, trwającą w starych przesądach, zdołały nawrócić utwory naszej powieściopisarki!

My atoli nie pójdziemy w ślady zacnej autorki i nie będziemy nawracać kobiet przesądnych, chociaż jest to najwdzięczniejsze dla krytyka pole.

A to dlatego, że według nas w tych przypadkach, gdy w powieściach pani Marrenné występuje kobieta kochająca, oświata jej na nic by się nie zdała, ponieważ nieszczęście spadło na nią zupełnie z innych przyczyn, a nie z braku stosownie podniesionego poziomu duchowego, nie z ciemnoty powszechnej i duszącej atmosfery moralnej, w której się wychowują mężczyźni.

Stasia naprzykład (w powieści *Jerzy*) bez oświaty postąpiła tak, jak tylko mogła postąpić kobieta rozumna i uczciwa. Ale cóż mogła zrobić, kiedy natrafiła na osła dardanelskiego w osobie jakiegoś uczonego przyrodnika p. Jerzego.

Księżniczka Idalja jest wprost kaleką, kobietą zupełnie rozwiniętą fizycznie; będąc wykształconą, zachowywałaby się może rozumniej względem Edwarda, ale żoną z pewnością być dlań nie mogłaby pod karą w razie przeciwnym bardzo przykrego później pożycia — cóż jednak zrobić, kiedy pan Edward postanowił zdobyć jej serce i wbił sobie w głowę, że nie może żyć bez niej.

Wogóle sądzimy, że zle, płynące z nierówności poziomu umysłowego mężczyzny i kobiety, w całej pełni może się ujawnić tylko w pożyciu małżeńskim, a nie w epoce miłosnych rojeń kochanków — nie mogłoby się przejawiać na serjo, nawet gdyby autorka przedstawiła wyłącznie ów czynnik, na bok odzuciwszy nierówność temperamentu, położenia towarzyskiego i t. d. Wskutek więc braku materiału

artystycznego do traktowania kwestji, która się zda-
je obchodzić autorkę, zajmiemy się analizą miłości
tej sfery, którą dostatki i zbytek otaczają, gdyż co
do tego znajdujemy u pani Marrenné obfity zbiór
szczegółów i nawet ogólnych charakterystyk, skre-
ślonych ze znanstwem niepospolitem.

Chociaż nasza wiedza i doświadczenie w kwestji
miłości z pewnością stokroć są mniejsze, niż prze-
ciętej dobrze wychowanej pani, jednakże odważy-
my się wypowiedzieć w tej mierze kilka myśli, któ-
remi się kierujemy, tusząc sobie, że mogą być cie-
kawe, jeżeli nie jako wpływ doświadczenia, to
przynajmniej jako wynik zupełnie odrębnych zapa-
trywań na świat. Otóż sądzimy, że w tak zwanej
„miłości“ stanowczo trzeba odróżnić „kochanie się“
dwojga młodych ludzi i „miłość małżeńską“. „Ko-
chanie się“ podstawowo jest to pociąg zupełnie
płciowy. Czynniki moralne i cywilizacyjne o tyle
tylko tu grają rolę, o ile stają się częścią człowie-
ka, że tak powiem, fizyczną. Tylko wtedy wywierają
wpływ, jeżeli ukształtują ściśle według swej modły
umysł i codzienne nawyki jednostek sfer całych.
Jednak górującą rolę w „kochaniu się“ będzie odgrywa-
ła powierzchowność, wygląd. Zawsze to będzie uczu-
cie płciowe tylko: w niem niema, że użyję wyrazu,
którego nierozumienie być może mi zarzucą, nic
idealnego. „Miłość małżeńską“, przeciwnie, jest fak-
tem wyłącznie uspołecznionego już życia. Uczucie
to co do jakości niczem nie różni się od przyjaźni
naturalnie w tem znaczeniu, że jednostka i tyśiąc,
są zarówno cyframi, lecz w ich ilości zachodzi
olbrzymia różnica. A taka, według nas, jest pomię-

dzy miłością małżeńską i przyjaźnią. Przyjaźń jest wytworem solidarności interesów moralnych i materialnych. Otóż małżonków spleta tak gęsta sieć tych interesów, iż dosłownie żyć zaczynają życiem wspólnym, jednym. Taką dopiero miłość można nazwać „idealną“, czyli, jak my nazwiemy, społeczną, nie opartą tylko na płciowym pociągu, taką, gdzie jedna istota jest koniecznym dopełnieniem drugiej i nawet śmierć jednej nie długo druga przeżywa. Czyż można sobie wyobrazić człowieka „idealniejszego“ i szlachetniejszego niż Garibaldi? Wiele się razy kochał i przez mnóstwo kobiet był kochanym, jak również zwodzonym, ale zawsze twierdził, że nie rozumie jak dla miłości można się strzelać, lub topić. Swoją Aniutę pierwszy raz spotkał w południowej Ameryce przy studni, poszedł natychmiast do domu jej rodziców i rzekł: dziewczyno, ty będziesz moja. I stała się jego najlepszą żoną, najodważniejszym adjutantem i najroztropniejszym oficerem sztabu. Gdy później, nawet będąc brzemienną, przy ostatniem swem dziecku, walczyła w sprawie przybranej swojej ojczyzny i ze znużenia i trudów do nieopisania w wirze tych walk umarła, żal Garibaldi nie miał miary. Lecz sprawa za którą walczył, wyrwała go z otchłani rozpacz. Później jedna zakochana arystokratka stawiała się w jego namiocie, wyrażając gotowość przeniesienia wiadomości do miasta osaczonego przez nieprzyjaciela, a gdy to wykonała z narażeniem życia, sądził Garibaldi, że znajdzie drugą Aniutę i poślubił ją. Lecz skoro się przekonał, jak mocno się zawiódł, natychmiast na drugi dzień odesłał ją rodzicom.

Pożycie małżeńskie, jako forma socjologiczna, powstało pierwotnie w celu wychowania przyszłych pokoleń, lecz z tego i obok tego głównego interesu, z rozwojem toru życia gospodarstw społecznych i cywilizacji, wplotły się do niego inne zupełnie interesy.

Trzeba powiedzieć, że małżeństwo jest to związek mający na celu wytworzenie jednego ogniska, w którym panuje solidarność i zgoda, gdyż w morzu życia naszego, po którego powierzchni huczą rozszalałe fale egoizmu, rodziny są to odosobnione, niewielu osobami zaludnione wysepki, gdzie można wypocząć strudzonym żeglarzom. Każdy się musi pilnować swojej wysepki, choćby na kraj świata burzliwego fale zanosły, każda wysepka jest pilnie strzeżoną przez swych właścicieli i tylko gdzieś het daleko znajdzie taki błędny rycerz dusze i serca, z którymi podzielić się może dołą i niedołą. Taka rodzina w pracy powstała i pracą się może jedynie utrzymać. To też widzimy, że tylko klasy pracujące i proletarijat robotniczy przechowują rodzinę. Co do proletarijatu fabrycznego, to nędza i warunki produkcji wytwarzają w wielkiej części tej klasy niezrząd płciowy. Lecz trzeba widzieć jak najmniejsze podniesienie skali dobrobytu powraca w tej sterze moralność, jak każdy marzy tylko o tem, by się ożenić i mieć własne ognisko! Proletariatowi zaś umysłowemu w zawieraniu małżeństw stoi na przeszkodzie po pierwsze nierówność rozwoju umysłowego mężczyzny i kobiety, gdyż różnym bogom służą, co jeden czci, tego się drugi lęka jak djabła, i powtórnie i głównie to, że byt tej klasy jest niezabezpie-

czony, a pozycja jej życiowa niedozwala być kobiecie współniczką, pomocniczką mężczyzny w zarobieniu środków do życia. Niedostępne są dla niej wszelkie fuchy inteligentne, a nawet gdyby się naraz otwarły, to jej wykształcenie nie pasuje do nich.

Z nauk przyrodniczych wiemy, że każdy organizm, który się wytworzył pod wpływem pewnych warunków, może się utrzymać jedynie przy współistnieniu z temiż warunkami. Przy ich zniknięciu jego przedstawiciele długi czas pozornie się przechowują, jednak lubo powoli, lecz stale stopniowo zanikają i narreszcie przeobrażają się stosownie do nowego otoczenia zupełnie. Gdy w jakiej sferze społecznej zniknie warunek pracy jako cel przy połączeniu dwóch istot dla wychowania przyszłego pokolenia, to chociaż forma rodziny istnieje nadal, nawet pozornie przybiera postacie wspaniałe koligacyj, rodów, heraldycznych pokoleń, lecz treść jej znika, a istotne związki rozluźniają się. Znikają moralność płciowa i wierność małżeńska, miłości rodzicielskiej nie szukaj, jest tylko władza męża, ojca i gospodarza; miłość pomiędzy braćmi i siostrami całą swą nicość wykazuje w sporach spadkowych. Jednym słowem, rodzina w sferze dostatków i zbytków znika jako ognisko uczuć altruistycznych. Przejada ją rdza egoizmu, rządzącego życiem ogółu.

*
*
*

Na teraz chcemy mówić jedynie o formach, jakie przybiera i roli, jaką odgrywa miłość w sferze szlacheckiej, feudalnej, że tak powiemy.

Spółceństwo takie chińskimi murami podzielone jest na wiele szczeblowań według zamożności majątkowej. Ponieważ zamożność oparta jest o własność ziemską, stosunkowo bardzo trwałą, to społeczeństwo przybiera postać drabiny, tradycyjnie podzielonej na warstwy społeczne wyższe i niższe. Burżuazja przedstawia nie mniejsze, a większe jeszcze kontrasty bogactwa i ubóstwa, lecz opierając się na kapitale, jest w ciągłym ruchu, przyczem z najwyższych sfer często tam się spada w najniższe, a ze średnich przedostaje się na najwyższe. U nas już szlachta dawno zbankrutowała, lecz rozległe są resztki jej mienia i niewiadomo kiedy przeżyje się zupełnie, a nowe formy życia zapanują. Życie obyczajowe wyższych naszych sfer chociaż w mniej świetnych barwach niż dawniej, ale posiada wszelkie cechy feudalizmu.

Powiastrki p. Marrenné pod tym względem zachowują doskonale tło narodowe.

Do jego spotęgowania (w jej utworach) przyczynia się znakomicie postać p. Jerzego, zubożałego szlachcica, protegowanego w szkołach przez przyjaciela-panicza. Ten wspomagał Jerzego w szkołach, dał mu możność kształcić się w uniwersytecie, opiekował się jego matką. Jerzy więc słusznie powiada „Życie moje do niego należy. Zaciągnąłem względem niego dług, który mi nie ciąży, ale który gotów jestem spłacić życiem całym i więcej jeszcze niż życiem“. „Winienem mu wszystko, czemkolwiek jestem, w dziedzinie moralnej zawdzięczam mu może jeszcze więcej“. Z pewnością tak! Moralność p. Jerzego jest nawskroś zastosowaną do tej klasy, z której był

wypadł, ale do której napowrót go wciągnął bogaty panicz. Ta to niby moralność kazała zachować się później Jerzemu względem panicza tak, że i niewolnik zapewne by poczuł pogardę dla niego — zrobił by to samo przynajmniej nie pod naciskiem „moralnych“ przekonań, lecz bata. Jerzy pokochał Stasię. „Jerzy, zawołał panicz, ty zawsze byłeś dobry i szlachetny: ty widzisz, że ja bez Stasi żyć nie mogę“! — „Nie mówmy o Stasi... Tu chodzi o mnie tylko. Co mam uczynić?“ — „Czy to być może? — zapytał (panicz), wlepiając we mnie rozjaśnione oczy — czy do prawdy zostawisz mi ją, wyjedziesz?“ — „Wyjadę, odparłem krótko (Jerzy) dziś jeszcze“. Widzieliśmy podobne protekcje w życiu. Jeden naprzykład zdolny chłopiec miał nieszczęście zawiązać przyjaźń z rozpieszczonym koleżką. Dwie klasy szedł nieźle, ale w trzeciej zaprzyjaźnił się z paniczem, zaczął żyć z nim jednym sercem i jedną duszą. Zostawał w klasach z nim razem, z czwartej ich razem wygnano, ale czuły przyjaciel protegował go dalej, wystarał mu się o miejsce rządcy i później długo ich łączyła przyjaźń, nie wiem już tylko, czy dozgonna. Razem objadali się łakociami, razem zbytkowali. Każdy w obronie drugiego z kolegami się czubił. Ale oto pieszczoszek niekiedy prosi swego protegowanego: Stasiu, Stasieczku, łap cukierki jak Zuczek i rzuca mu łakocie, a ten przysiadłszy imitował psa służącego w łapaniu rzucanych łakoci. Śmiech powszechny dla uczniów i uciecha rozkoszna dla paniczka! Tak ja rozumiem te słowa ogniste: „winienem mu wszystko, czemkolwiek jestem, a w dziedzinie moralnej zawdzięczam mu może jeszcze więcej“. Powie-

działem to wszystko by się wytłumaczyć z tego, że przedstawiając miłość sfery dostatków, wciągam w nią i Jerzego.

Reszta postaci głównych i ubocznych w powiastkach p. Marrenné należy z urodzenia i z zamożności wyłącznie do sfery, o której piszę.

Zobaczmyż jak się kochają bohaterowie i bohaterki w tych utworach.

„Uczony Jerzy“ kocha Stasię. Oto pierwsze jego wrażenie. „Spojrzawszy na Stasię, każdy zrozumieć go (Lucjana narzeczonego) musiał i pozazdrościć mu. Z początku zdawało mi się, że widzę promień wschodzącego słońca, ujęty w alabastrowe kształty; wdzięk, woń, harmonja, to ona cała, żadne słowo oddać tego nie jest w stanie. Zwoje płowych, jedwabistych włosów, skręcone w wielki węzeł nad karkiem, przechylały w tył ciężarem swoim małą główką, nadając jej jakąś dziecinnie dumną cechę; w głębokim spojrzeniu ciemnych źrenic zdaje się przeglądać duch nieświadomy siebie; a jednak przed ich śmiałym, czystym blaskiem najhardziejsze oko się spuści... każdy ruch wdzięczny, utoczony przykuwał wzrok i serce... Może chowano ją tylko na ładne, bezmyślne cacko. Szkoda! Nie cierpię wszystkiego co może zwać się fantazją i kaprysem, a jednak przyznaję, że gdyby Stasia była moją narzeczoną, nie miałbym serca gniewać się na nią. Kto wie, może kochałbym ją nawet coraz więcej za te chmury bez przyczyny... Stasia, w rannej muślinowej sukni gospodarując między nami, była zachwycająca. Ślady wczorajszych chmur przeszły bez wieści, a patrząc na nią, trzeba było koniecznie za-

marzyć o ciszy i błogosławieństwie domowego ogniska. Dziwnie to bogata natura! powolna jak dziecko, a harda i śmiała, figlarna i myśląca, razem czynna i rozmarzona, z sercem kobiety, z szczerością i prostotą dziecka, z umysłem męskim, zdolnym wszystko zrozumieć. Nie pojmowałem dotąd, by podobna kobieta istnieć mogła“. Stasia uprzykrzała się mędrcom z zadawaniem mu rozmaitych głębokich zagadnień. „Czy ona sądzi, że ja jestem istotą z kamienia, że w piersi mojej także nie bije serce, nie mogą rozplonąć żądze“... „Ja dla niej jestem stałym przyjacielem, obok którego świetniej wygląda piękny Lucjan“... Zakochał się nieborak, ale ponieważ sądził, że jego bohdanka kocha kogo innego, w dodatku jego przyjaciela-dobrodzieja, więc jako uczciwy i rozsądny człowiek powinien był natychmiast wyjechać. Ale cóż zrobić, kiedy wola tych ludzi rozproszyła się na uczynki lokajskie, a na obronę godności własnej niema jej u nich; również umysł, otoczony chmurami konwenansów i zabobonów, nigdy nie zdoła powziąć postanowienia, zgodnego z sytuacją. Zostaje więc. Tak czy inaczej, nadeszła chwila, gdy „czułem jej oddech gorący na twarzy. Bezprzytomny prawie cisnąłem jej kibić do siebie namiętym ruchem i całowałem jej zbladłe usteczka, jej łzy, jej włosy“. Później zaszła scena opisana przez nas wyżej, na którą niekonieczne złożyły się wypadki nieszczęść i wpływów mistycznych, jakie wprowadzono do powieści. Podłość lokajczuka sama zupełnie wyjaśnia postępowanie Jerzego. Jednak artystka rzuciła jeszcze jeden grom na jego potępienie, o którym powinniśmy wspom-

nieć. Wyjeżdżał nie pożegnawszy się ze Stasią. Ta go konno dognała i między innymi rzekła: „przysięgam, że nigdy nie zostanę żoną Lucjana... może kiedyś pożałujesz tej chwili“. I to nie pomogło. „Stasiu, rzekłem złamany, przez litość, nie mów tak, nie udawaj śmiechu, gdy serca nasze pękają“... Ale Stasia wyrwała rękę, którą ująć chciał i rzekła: „Teraz... między nami skończyło się wszystko; pamiętaj o tem, panie Jerzy. Nie sądź, że żal po tobie zostanie mi wiecznie; potrafię wzgardzić!“... Zazdrościł jednakże Lucjanowi, któremu sam zostawił na pastwę swą ukochaną, a później tak samo jakiemuś marcypanikowi, za którego Stasia wyszła za mąż i gniewał się bardzo, że (wzgardzona notabene) śmiała nad niego przenieść jakiegoś piernikowego kawalera. Na pociechę postanawia wyjechać zagranicę, przyczem jego naiwne faryzeuszostwo szczytu niebios osiąga. „Będę walczył z nieufnością i szyderstwem, ze zwątpieniem i niechęcią; ufam, że zwyciężę, a wówczas stanę przed tobą (przyjacielem doradcą) z pogodnym czołem i będę mógł powiedzieć o tych, co mnie zawiedli, słowo, które się mówi umarłym: pokój z wami!“... A oto, jak p. Jerzy zapatruje się na miłość: „między narzeczonymi nie było całkowitej harmonji: w jego oku był tylko odbłask jej wejrzenia, miłość stała się treścią jego istoty.. W jej wyrazie nie było zupełnego oddania, cechującego miłość w całej pełni, jaką podobna istota uczuć może“. Biedna Stasia nie potrafiła wzgardzić! Gdyby знаła choć trochę więcej mężczyzn, to z pewnością by o nim zapomniała, ale ci trzej, czterej których widywała, tak byli marni, że

nawet lokajczuk Jerzy o całą głowę był od nich wyższy. Kocha się naturalnie to, co się widzi najlepszego. A zaprawdę wymagania Stasi wielkimi nie były. Według jej słów, „jest w nim (Jerzym) jakiś wdzięk niewymuszony, jakiś wyraz łagodny, spokojny i energiczny zarazem. Postawa jego i ubiór nawet cechuje się rodzajem wytwornej prostoty. Ogólny wyraz tej twarzy możnaby streścić w dwóch słowach: inteligencja i siła.. Lucjan był piękny, ale... pełno jest ludzi podobnych do niego, pan Jerzy nie przypominał mi nikogo“.

We *Fragmencie młodzieniec*, włączający się po świecie czy to wskutek „zaświatowych wpływów“, czy dzięki „spuściźnie przeszłych pokoleń“, tak opisuje swoją kochankę: „głos, który mnie doleciał, był tak czysty, słowa były tak miękkie i wszystko razem tak odpowiadało tęsknotom moim, że się pochylili szybko, szukając tej co je wyrzekła. Była to kobieta młoda i dziwnie piękna, twarz jej biała jak kość słoniowa, bez śladu rumieńca, nosiła mgliste, nieujęte piętno cierpienia, barwą i wyrazem przypominała rośliny hodowane bez słońca.. Ręce jej jak gdyby z marmuru wykute, obnażone po ramiona, zwieszały się wolno. Wszystko w jej wyrazie, postawie, ruchach nawet, zdradzało zniechęcenie, czy znękanie nieuleczone, pociągało niepojętą słodyczą rozlaną w spojrzeniu, uśmiechu i głosie.. głos jej przechodził drżący w ledwo słyszalne dźwięki, samo brzmienie jego już było pieszczotą“. Uwijał się długo koło niej, ale ta miała dziecko, była zamężną, więc nie chciała awanturować się z chłopcem, chociaż go pokochała. Ostatecznie wyprawiała

go nawet nie raz, ale dwa razy, bo po pierwszym razie powrócił, a po drugim dla tego tylko nie wrócił, że nieprzytomnego zaprowadziła na statek (rzecz się dzieje na Helgolandzie), gdzie zachorował. Gdy uzdrowiawszy poleciał na wysepkę, nie znalazł swej bogdanki. Przyjechał do domu i ze złości chce się żenić z wychowanką swej matki. Aż tu odbiera list od „niej“. Nie przeczytał jeszcze, a już mu wszystko przewróciło się w głowie: chce rzucać Marynię i jechać, a matka mu błogosławi. Dopiero przeczytawszy widzi, że „ona“ o nim ani myśli, bo żąda zwrotu „pamiętek“ i listów i to przez pośrednictwo trzeciej osoby. (Domyślna kobieta!). Rozumuje więc tak: „cóż znaczy ten list, omyłka serca, nizkość tej kobiety wobec mojej wiary? Nie daję żadnej istocie na świecie prawa nad sumieniem mojem (co za dumą!), indywidua przენiewierzyć się mogą ideom, któreśmy w nich wcielili, ale te idee pozostają zawsze niezienne, ja wierzyć muszę w to co czuję. Ślubując przyszłość Marysi, zgrzeszyłem przeciwko samemu sobie, kłamałem zarówno przed sobą jak przed nią; słusznie napotkałem cierpienie, ono mnie zbawiło. Dziś poznałem dokładnie własne serce i pozostałem wierny jemu, nie tej kobiecie!“.

I znów gnuśne samolubstwo, ale tak samo naiwne, ubrane w potok pysznych frazesów.

Zaprawdę, dokładnie autorka zna sferę, którą przedstawia!

Edward w powieści *Życie za życie* sądzi, że „miłość jest to, gdy serce moje silniej uderza, gdy rozszerza się mój horyzont myśli i wznosi poziom moralny, gdy świat cały przetwarza się w oczach,

a szczęście zdwaja i zależy od drugiej istoty.. Z kobietą, którą kocham, rozejść się mogę jutro, lub być jej wiernym całe życie“.. Uwodził dużo kobiet, ale nareszcie przyszła kreska na matyska: „widziałem, że nawet pojęcie złego nie skaziło czystości jej białego czoła, widziałem, że cień fałszu nie powstał nigdy na jej ustach.. że była piękną, ah! piękną jak może i niewolno być ludzkiej istocie“; w oczach jej dojrzeć można było „Boga“, a u ramię brakowało jej „skrzydeł“. Słowem, chociaż czoło jej było jasne, jak promienie słońca, ale w głowie było ciasno, jak jej nóżce w buciku, bo cóż za rozum może być u kobiety, która nawet pojęcia niema o „złem“? Przecież o dobrem mamy o tyle pojęcie, o ile przeciwstawiamy to dobro złemu. Była to dosłownie roślina cieplarniana. Gdy pierwszy raz wymówiła: kocham, zaczęła płakać. „Co tobie? pyta Edward“. „Ja nie wiem sama“. „Dziwną intuicją serca zrozumiałem co powiedzieć chciała, zrozumiałem to nieujęte cierpienie czystego dziewiczego ducha, które tem jednym słowem „kocham“ oddawało się w poddaństwie na wieczność całą niepowrotnie“. Lecz księżniczka Idalja „tak przywykła do idealnych sfer marzenia, tak oderwała się od ziemi, iż przestała pojmować potrzeby i prawa ludzkie“ i zaczęła marudzić i odpychać od siebie kochanka. Myślała bowiem tak: „czemuż kochając lękam się tej chwili, w której zniknie wszystko co nas rozdziela? Czy mu nie ufam? Ja nie wiem sama, ale się lękam, lękam się by codzienne życie nie padło jak pył brudny u kwiat uczucia... Dlaczegoż szukać miłości w małżeństwie, jeśli ono

samo zabijać ją musi“. Miała słuszność księżniczka Idalja! Pożycie w małżeństwie z Edwardem z pewnością długoby nie trwało szczęśliwe. Zazdrosny opiekun wykrywa przed Idalją sprawki miłosne Edwarda, robi ją świadkiem pocałunku, danego Edwardowi przez jego byłą damę serca. Idalja wyjeżdża, dumny pan także wyjeżdża, bo powiada: „czyż na świecie jest tylko jedna Idalja? czyż wyczerpałem już serce? czyż nie znajdę równie pięknej, równie czystej, a bardziej kochać zdolnej?“ Ale kapryśne dziecko nigdy się nie uspokoi, póki nie będzie miało tego właśnie, czego żądało! „Zasiadłem wśród koła biesiadników, śmiałem się z wesółymi, szalałem z szalejącymi, próbowałem rozgrzać serce przy bijącej piersi, próbowałem zapomnieć wśród szalu rozpusty“, a jednak Idalji nie mógł sobie wybić z głowy. Nakoniec napastowana grzecznie i niegrzecznie oddaje się mu umierająca, ale w takich wyrazach, po których nie wiem czy mniej cokolwiek kapryśny przyjąłby ją i przycisnął do piersi. Sam powiada „nieoddała mi uścisku; ręce jej były jak lód nieroztopiony.. Patrzyła na mnie smutno, łagodnie, ale jak na obcego człowieka“. Pomiędzy nimi staje opiekun, Idalja z rozpaczy, że ich pogodzić nie może, umiera cokolwiek prędzej, niż przypuszczać można było. Nasz bohater zabija tego opiekuna, w trakcie zabiegów koło Idalji gubi dziewczynę Włoszkę (rzecz dzieje się w Rzymie), która go pokochała, i w napuszonej rozpaczy, zły na siebie i ludzi zamyka się w swoim zamku w kraju, gdzie żywej duszy nie przyjmuje, listy wszelkie nie czytając pali, oddaje się muzyce, hasa czasami na ru-

maku. Odludny dom jego był jednak „zdobny we wszystko, co tylko bogactwo, kierowane dobrym smakiem, stworzyć wykwintnego może“. Zbrojownie, biblioteki, nuty, zbiory obrazów, meble mahoniowe, zwierciadła w złotych ramach, wonne cygara — oto ustronie samoluba, który już sam sobą wzgardził, ale jednak i innym powtarzał i inni w niego wmawiali, że „w szczyty zawsze piorun bije“, że był wyższy ponad poziom zwykły, a ludzie takich nie lubią i los prześladuje zuchwałych i dzielnych.

* * *

U ludzi pracy „kochanie się“, mając cechy pociągu płciowego, modyfikuje się silnie myślą o małżeństwie, a wszedłszy w tę fazę zupełnie się przeradza w spotęgowaną tysiąckrotnie przyjaźń. W sferze dostatków, życie jest to ciągle bawienie się. Myślą i „pracują“ jedynie nad tem, aby przyjemnie w towarzystwie czas spędzić. Skutkiem tego myśl o małżeństwie jako o połączeniu się dla obrony swych interesów, dla walki życiowej, wcale nie wpływa na „kochanie się“ młodych ludzi. Oni marzą o ciągłym kochaniu się, o wiecznych rozkoszach stąd płynących. Taka zasada zgruntu anti-rodzinna, a jednak mająca codzienne zastosowanie w naszych sferach zamożnych, wytworzyła owe znane, a tak niemoralne komunały o tem, że najszczęśliwsi są młodzi ludzie tylko dotąd, dopóki są narzeczonymi i w miodowym upalnym miesiącu, po którym bez przerwy następuje jesień dżdżysta, posępna, małżeńskiego pożycia. Słowem, miłość w klasie wyrafinowanej jest tylko płciowa, bez żadnych moral-

nych czynników; oryginalna ciepłarniana kultura tej klasy, która się stała ich drugą naturą, wyryła także i na miłości swe piętno. Wszyscy kochają anielsko piękne kobiety, konieczne dystygowanie ubrane, posiadające wiele talentów co podnoszą urok niewieści. Nawet dla Stasi niepoślednim przymiotem Jerzego była jego wytworna prostota. „Nieświadomość“ (Idalja) złego, „śmiała naiwność“ (Stasia), „zmęczenie“ (Lucjan), rozlane we wszystkich alabastrowej białości członkach pięknie zbudowanej kobiety—oto cechy, którym nasi bohaterowie największą wartość przyznają. Daj kurze grzędę, to powie, że wyżej siędę, mówi przysłowie.

Bawiąc się ciągle, chcieliby najrozkoszniejsze zabawki najdłużej przeciągnąć.

Stąd owe teorie o wiecznej miłości, o zgodności i harmonji serc.

Myliłby się ten, któryby dojrzał w tem choć odrobinę podnioślejszych uczuć. Poprosto owo kochanie się, „gwałtowniejsze bicie serc“ chcą *contra naturam* przedłużyć do nieskończoności. Niestety, napróżno, bo życie ma swe nieprzeblagane, nie dające się złotem przekupić prawa! Życie to zabawka, a pomiędzy zabawkami kobieta jest najlepszą — oto morał życiowy, a wyraz jego kwiecisty „mądry“ Jerzy i „wybitny“ Edward streścili w swych rozumowaniach o całkowitem oddaniu się i wiecznem poddaństwie małżonki. To instynkt haremowy! Miłość, zrodzona pod wpływem tylko „naiwnie śmiałego oka“, przeradza się w szaleństwo, gdy stoją na zawadzie jakieś przeszkody lub gdy ubóstwiana istota ucieka przed swoim czcicielem. Ledwie dostał

ją w ręce, już go to nuży. Bardzo naturalnie, przecież człowiek nie więcej ma sił na odczuwanie przyjemności niż na pracę! Jeżeli zaś o pracy zapomina, to nawał samych przyjemności tak stępi zmysły, że zaledwie urok czegoś, z trudem zdobywanego, może je podrażnić. Od samego dzieciństwa, w szkole i w towarzyskiem pożyciu tej sfery, oryginalność i wolę jednostki niemiłosiernie się tępi, jako rzecz najszkodliwszą. Nic więc dziwnego, że zdobyć się na czyn stanowczy nigdy tu nikt nie może, a pod wpływem namiętności odruchowych wyrabiają się dziwactwa. Można ich wszystkich uniewinnić, ale tylko dla tego, że są w stanie niepoczytalności. Przed czasem wyjechać, albo usunąć na bok przyjaciela, gdy rzecz zadaleko zaszła — Jerzy nie potrafił, a zgubić kilku ludzi i wzgardzić kochanką — to i owszem. Tak samo bohater Fragmentu i Edward plunąć na swe bohdanki nie mogli. Ich rzeczą jest włóczyć się za nimi jak psy po świecie i marnieć bez żadnej dla siebie, dla kochanek, lub kogo innego korzyści. Ze wszystkich postaci p. Marrenné bezwarunkowo dodatnią i przytem zupełnie realną wydaje mi się jedynie Stasia, nieszczęśliwa ofiara martwoty atmosfery, której nie mogła ożywić nawet potężną swą piersią. Jedyna droga dla niej to zerwanie wszelkich stosunków z Lucjanami i Jerzymi i przejście do innych sfer. Lecz cóż zrobić mogła, nic nie wiedząc, a nie widząc świata dalej poza okolice wsi swojej. Musiała więc zamrzeć. Smutna rzecz, ale konsekwentna. Miłość sfery arystokratycznej, jako wpływająca z życia bez pracy, którego jedynym celem jest

przyjemność i estetyka, będąc podstawowo uczuciem wyłącznie płciowym, składa się z takich czynników, jak kultury cieplarnianej, wyrafinowanej (mody i t. d.), instynktów haremowych, przesyty i ospałości moralnej, braku wszelkiej samodzielności, zdolnej na czyn się zdobyć.

Mądry Jerzy, który nad retortami przesiedział życie, doszedł do przekonania, że bez miłości nie warto. Z tego powodu przypomniałem sobie jedną bajeczkę. Poszło dwóch braci, wesoly i smutny, w świat szukać szczęścia. Najęli się do bogatego gospodarza na robotników. Wesoly zakochał się w córce pryncypała, a ponieważ bracia znaleźli skarb, więc poślubił bohdankę i był szczęśliwy. Ale smutny nie przestał być smutnym. U młodej zaślubionej dziewczyny była krówka Lolo, piesek Zozo i kotek Bobo; po roku pani urodziła synka, a Lolo, Zozo i Bobo także wydali na świat potomstwo. I wszyscy byli szczęśliwi, a najwięcej wesoly brat. Wtedy smutny powiedział do wesolego: wezmę ja połowę skarbu i pójdę w świat: „Czyś nie szczęśliwy, czemuż nas nie naśladujesz?” — Ale ten odrzekł: „Tak być szczęśliwym, jak ty jesteś, może być i Bobo i Zozo i Lolo, a ja chcę szczęścia większego”. I poszedł w świat a proboszcz w niedzielę nauczał lud o wdzięczności Boga, który karze surowo tych co szemrzą na los. Później powrócił brat smutny, wykształcił swoich współziomków, pobudował szpitale, koleje, fabryki, zasadził ogrody. I był wtenczas bardzo wesoly, szczęśliwy. Ale niko go już z krewnych nie miał. Wszyscy go kochali i czcili. Gdy umarł, cała gromada chowała go w nie-

mem milczeniu i żalu głębokim. Już przysypano trumnę, aż ciszę grobową przerwał płacz niewieści: Ach biedny! nie miał ani kochanki, ani żony, brata, ani siostry, sam jeden na świecie, nieszczęśliwy! Powstał starzec siwobrody i rzecze: nie bluźnij niewiasto, on był szczęśliwy, a nie samotny. My starce straciliśmy w nim brata najukochańszego, a wy młodzi ojca. Czy prawdę mówię? Prawdę, prawdę, ze łkaniem odrzeczę gromada...

MARJA KONOPNICKA

Poezje. Serja druga. Warszawa 1883

Talent poetyczny odznacza się w pewnym względzie wielką zdolnością przystosowywania się, dostrojenia się odpowiednio do otoczenia.

W gronie biesiadników wesółych poeta najgoręcej odczuje rozkosz wina i wspólnej radości, wyszedłszy zaś z sali godowej, a wstępując do przybytku rozpacz, natychmiast zaczyna odczuwać dreszcze i kurcze bólu bez miary. Z drugiej zaś strony, pod wpływem silnych uczuć indywidualnych, poeta rozwija nadzwyczajną łatwość dostrzegania w każdym nieomal otoczeniu cech i szczegółów, które mu przypominają lub nawet potęgują jego stany wewnętrzne. Jeśli się znajduje pod wrażeniem utraty drogich mu osób, wnet cała przyroda zaczyna płakać i wyrażać swoje współczucie, a ludzie którym nic do jego smutku, nie są obojętni dla niego, lecz szyczą i śmieją się z tkliwej jego duszy.

Czasy atoli kiedy serca poetów były pustym bębniem, który z jednakową czystością dźwięków odbijał i szalał rozpusty i hymny modlitew, stosownie

do tego gdzie stał, czy na balu u księcia czy w kościele, dawno minęły: są to czasy minstrelów, trubadurów i wogóle dworowania sztuki przy klamce możliwych i władców. Teraz każdy poeta, naturalnie z talentem, na swoim dziele wybija piętno tego usposobienia, w jakim je tworzył. Wiek dzisiejszy jest wiekiem powszechnej rozterki, chaosu pojęć i zamętu stosunków społecznych. Miljony cierpią, tysiące się cieszą, jedni nie wiedząc o drugich. Ci, co znoszą trud i znój, widzą tylko nędzne chałupy swych wiosek, lub błotniste sutereny i chłodne poddasza i nie sięgają wzrokiem swym dalej. Ci, co uczują, nędzę widzą zaledwie przez szyby sal i rzadko, rzadko na pryncypalnej ulicy w postaci żebraka, który uszedł oka bacznej na niego policji. W tej sferze szczęśliwej kwitną nauki, przemysł i sztuki. Często z gmachu szczęścia goście są wytrącani w szeregi nędzarzy, i raz wypadłszy nie powracają, a rzadko z szeregów warstw niższych sprytem i szczęśliwym zbiegiem okoliczności wdrapują się ludziska do owego zaczarowanego zamku i tam zapominają o tem co przeżyli. Któż zapełni przepaść dzielącą dolę i niedolę, kto przed szczęśliwymi roztoczy obraz mąk piekielnych i zagrzmie przed niemi trąbą archanioła, powołującą ich na sąd, i wskaże owoc nienawiści i zemsty, który w otchłaniach wciąż rośnie i rośnie? Któż w przybytki ciemnoty i nędzy poniesie światło nauki, wskaże słabym na ich siłę w liczbie i usamowiedni ich w poczuciu swojej godności, odtworzy obraz szczęścia i wskaże drogę do niego? Któż, jeżeli nie sztuka i najwspanialsza z nich poezja! Lecz poeci żyją w tych samych wa-

runkach co i reszta ludzi, prawie wyłącznie są to istoty dobrze znające tylko życie zamożnych sfer. Cóż ich natchnie, nastroi do uczucia boleści nad krzywdą i niedolą ludzką? Nauka, ten jedyny i zawsze w cichości pracujący czynnik samowiedzy! W ręku poetów nauka powinna stać się olejem, którym ci napełniać muszą swe lampy i świecić niemi całej ludzkości.

Widzieliśmy potrzebę tych kilka uwag wypowiedzieć, przystępując do sprawozdania z najnowszego tomu utworów znakomitej poetki współczesnej.

Druga serja poezyj p. Konopnickiej nawskroś przeniknięta jest bólem, współczuciem dla nieszczęśliwych.

Cóż spowodowało ten ton minorowy w jej pieśniach?

Nie osobiste nieszczęścia i zawody, lecz wiedza, która jej odkryła otchłanie ze wszęch stron otaczające każdy cypel szczęścia. Smuci się więc smutkiem filozoficznym. Dlatego obecnie, pierwszorzędną rzeczą przy ocenianiu utworów poetycznych wydaje nam się kwestja wykształcenia i filozoficznych poglądów poety. Z tych bowiem odrazu okaże się o ile utwory mogą być pożyteczne i czy naród je przyjmie na swą duchową własność. Niech poeta z największym talentem wyśpiewa swoje osobiste dole i niedole, lecz jeżeli nie będą miały społecznego znaczenia, to przebrzmiają bez echa, bo teraz niema czasu na ich słuchanie. Naturalnie, im więcej poeci - obywatele wykażą talentu, tem więcej działają swem słowem — tylko to można powiedzieć, że obecnie uwaga i wpływ należą nie do poetów, wyśpiewujących

dzieje miłosne, lecz do tych, którzy zechcą aposto-
lować te lub inne idee.

A więc zobaczmy, jakie poglądy na świat i życie
wyjawia nasza poetka.

Najpierw poglądy jej na „bytu tajemnicę“.

Uskarża się, iż na wieki „pomiędzy prawdą a lu-
dów sumieniem“ będzie rozciągała się mglista zasło-
na. Zapytuje, skąd powstała Najwyższa Istota? Czy
ją zrodziły „tęsknoty, pożądania i pragnienia“ ludz-
kie, czy imię Boże pierwszy raz wyrzekł człowiek,
gdy się uląkł „zgrozy“ błyskawic i piorunów i wo-
góle, czy Bóg stworzył świat i człowieka, czy też
„duch tęskniący... patrząc w światów gwiazdzistych
miljony... ogarnion dziwem i trwogą i mocą... pierw-
szy zawołał: Boże“. Lecz jakkolwiek było, zawsze
„wkoło mnie, we mnie, podemną, nademną — Ty —
pełen błysków — i cienia“. Ośmiela się rzucić za-
pytanie: jeżeli łyż wszystkie są „policzone“, dlacze-
go nie „otarte“. Odpowiada, jak razu jednego śmia-
ła się z mędrców, którzy czołem zadumanem

Napróżno biją przed wielkiem nieznanem...

Aż wreszcie głosem, co duszę przejmuje,

Rzekłam: „On przecież jest tam!... ja go czuję!“

Poetka się nie skarży, że pokrzywdzeni napróżno
wołają o pomoc do Boga, że nie w Nim znajdują
ukojenie, lecz w mogile, a tylko jej „smutno... żeś
Ty Wielki Boże, całej tej nędzy jest — panem“. Nie
mogąc uwielbiać harmonji i doskonałości dzieła
Stwórcy, gdyż jej sumienie co innego podszeptuje,
czuje że „grzeszy“ przed Bogiem i odbywa wobec
Niego z tego powodu na pięciu stronach spowiedź
ze skruchą, z której sprawy nie zdamy, gdyż zacho-

dzi nie „wobec ludzi“, tylko „w ciszy“ przed Bogiem.

Rzućmy okiem na obrazy niedoli, jakie pochwyciła poetka.

Oto idzie do miasta wielkiego sierota-dziewczyzna szukać chleba, bo z wioski rodzinnej wygnały ją śmierć ojca, głód i chłód. Co ją tam czeka? „Ciemne mrowisko nędzarzy, a nad niem nuta rozpustnej piosenki“. (Czy zginie).

Jaś wskutek braku pożywienia, zimna i nieczystego powietrza zachorował. Doktor powiada, że trzeba zmienić warunki higieniczne; jeżeli dożyje do wiosny, to ozdrowieje. Słońce wiosenne opromieniło tylko trup chłopca. (Jaś nie doczekał!).

Na tle wspaniałego pałacu, pomiędzy klombami kwiatów przepysznych stoi obdarta, bosa, chorowita dziewczynka. „Myślicielowi.. dziecko to zwiędłe i świeże te kwiaty, dawały widok smętny i żaloszny“. (Dwie wiosny).

Podczas świąt Bożego Narodzenia idą dzieci chłopskie z gwiazdą do dworu. Zziębniętym i porównującym dwór ze swoją chatą przychodzą różne myśli do głowy: Czemu u nas nie tak jak we dworze. „O dziecię.. Och! aby tylko wiekowi przyszedłemu grom pomsty twego nie powtórzył: czemu!“ (Z szopką).

Jedyny syn matki chłopki idzie na służbę wojskową. Gdy go żegnała po raz ostatni, pękło jej serce z żalości. (Chłopskie serce).

Porywające są chłopa żale następujące! (Na fujarce).

„Wsiałem ci ja w czarną rolę — Na wiosnę

„Dwie główiny chłopiąt moich — Żaloszne..

„A i cóż mam z tego siewu — za plony?

„Jeno krzyżyk na cmentarzu — zielony“.

Przerażającą prawdą tchną wróżby cyganki z chłopskiej ręki wyczytane: „Umiłuje cię królowa.. Aż do śmierci.. krwawa bieda!“. I nigdy cię nie porzuci i strzec będzie ciebie i rodzinę twoją i progów twej chatki i twego dobytku. „A i ciebie droga czeka.. na pokoje — do mogiły“.

Jeszcze jeden obrazek swojski rodzajowy: Z chaty chłopskiej idą trzy ścieżki „jedna — gdzie orzą pańskie pole.. druga... gdzie biała karczma stoi, a trzecia na ten cmentarz, gdzie leżą wszyscy swoi..“.
(Z łąk i pól).

Jakież uczucie, myśli i żądze rodzą się u poetki pod wpływem powyższych i innych w jej poezjach znajdujących się obrazów? Jakież wyjście przewiduje z tych otchłani piekielnych? Jasnej odpowiedzi na to nie znajdziemy, oprócz ciągłych zwrotów do uczucia miłości i poczucia sprawiedliwości. Poetka nie wie jak ma nastąpić szczęście na ziemi, czy wskutek walk i wstrząśnień gwałtownych, czy też jako następstwo stopniowego rozwoju.

„Czy mu (szczęściu) przyjść kazesz (ty, O Boże) jak idą
[pioruny..

„Czy wszędzie cicho w te ciemne przestworza..

..... jako słoneczność konieczna

„W ludów rozwoju“.

Powiada, że idąc drogą „którą łez ludzkich wskazują ślady“, nie bierze żadnego hasła bojowego, bo „siła, co jeńców wyzwala z pod jarzma, jest mi nadzieją, miłością i wiarą“; stroni od tych „ani aniołów, ani czartów“, którzy chcą wskrzeszać świat „unosząc wszystko w burz własnych odmęty“ i prze-

klina rozdwojenie ludzkości na obozy walczące. W co ja sieję „jednych chłoszcze i wstrząsa łańcuchem drugich“, pragnie wzruszyć „pieśnią choć jedną zakrzepłą w łód duszę“ i wierzy, że „przyjdzie w słońca promieniach duch Boży i przyszłość ludom na rozcież otworzy“. W Modlitwie prosi Boga lepiej już o zesłanie najgorszych klęsk na ludzkość, a w zamian tylko o odjęcie „ducha nienawiści“. W *Sclavus saltans* mimochodem wypowiada myśl, że ten, który sam nie przedsięwzięmie środków własnej obrony, kto „skacząc, zapomniał, że łańcuch go więzi, — niewolnikiem był, jest i będzie“! Nareszcie uspakaja smutnych, aby płaczem i szemraniem na los swój nie znieważali niebios, by nie zlorzeczyli napróżno planom Przedwiecznego, gdyż je odmienić nie można, bo:

„Któż wie, czy biegnąc po strunach lutni,
„Które dźwięk każdy dostraja Duch duchów,
„Jęki boleści i zgrzyty łańcuchów
„Nie tworzą hymnu“...

Owóz, owóz jesteśmy prawie u celu.

Więc poetka nie zna Najwyższej Istoty rządzącej światem, lecz zmusiła siebie do wiary w Nią, nie zna Jej planów co do przyszłości ludzkiej, lecz wmówiła w siebie, że te muszą dążyć do szczęścia powszechnego, chociażby przez morze krwi, łez, krzywd i rozpaczy. Ale nawet przez okulary tej wiary obrazy nędzy nie tracą nic w szlachetnych oczach autorki ze swych okropnych barw, z jednakową siłą przygniatają serce i myśl! To zdradza bolesną rozterkę serca i głowy. Zaiste ten ból chociaż nie jest ostrym, tylko tępym, lecz nieuleczal-

ny, niczem nieutulony i nieukojonny. Ten ból najwidoczniej trawi poetkę: nazywa go tęsknotą. Gdybym chciał dowodzić powszechność owej „tęsknoty“ w utworach pani Konopnickiej, musiałbym chyba z każdej stronicy robić wypisy. Ograniczę się tylko do miejsc najcharakterystyczniejszych.

„Ach kiedyż, kiedyż, wolni, jak dwa duchy,

„Żądź tych i pragnień zerwiemy łańcuchy?

„I wyzwoleni będziemy od serc bicia,

„I od rumieńców nagłych — i od życia?

W jednym miejscu poetka wykazuje mnogość cierpiących, swoje ku nim współczucie i nakoniec powiada: „Gdyby Bóg spytał: sąż smutki na świecie i gdyby wszyscy milczeli, ona by sama odpowiedziała „jestem“. W utworze *Pójdź z a m n ą* w ten sposób określa krainę tęsknoty:

Lećmy w krainę cichą i pogodną,

.

Gdzie milkną żądze i krwi fale chłodną,

Gdzie się płomieniem nie zajmują lica

.

Gdzie tylko cicha, bezwiedna tęsknica

Wspomina ziemi ostatnie ogniwa...

Do tego dodać należy, że pani Konopnicka „tęsknotę“ uważa za cechę każdej szlachetnej i poetycznej natury. Niech mi wolno będzie zaprzeczyć temu. Zupełnie zgadzam się z tem, że umysł, który się uznał bezsilnym rozwikłać pogmatwane stosunki ludzkie i koniecznie zapragnął osiąść prawdę absolutną, a nie mogąc tego dopiąć, zdał wszystko na niedoścignione wyroki Boskie i sam ulata w mgliste dziedziny metafizyki by nie słyszeć zgiełku walk

ziemskich, że umysł taki może być najszlachetniejszym. Lecz również może być szlachetnym człowiekiem i natchnionym poetą osoba, która się cała poświęciła walkom tej ziemi, przejęła się jej namiętnościami i ani na chwilę nie odrywa od niej swej duszy i serca. Owa „tęsknota“, ów ból nieutulony poetki wypływa z jej iście mahometańskiej wiary, iż szczęście bądź co bądź zakwitnie na ziemi, a my nie możemy w żaden sposób przewidzieć dróg, którymi do nas zawita. Zazdrościmy poetce tej wiary, ale wyznajemy szczerze, iż jej nie posiadamy! My nie jesteśmy koniecznie przekonani, że sprawiedliwość zwycięży, lecz pragniemy by zwyciężyła i w imię naszego pragnienia staramy się działać tak, jak nam wskazuje nauka i doświadczenie wieków ubiegłych. Co do sprawy „pokrzywdzonych“, ci tak samo w imię równości ludzkiej mają prawo do szczęścia: chociaż więc niewiadomo, czy ostatecznie zwyciężą i kiedy to nastąpi, zawsze jednak powinni pragnąć i dążyć, a obowiązkiem inteligencji altruistycznie usposobionej jest uświadomić, oświecić nauką ich dążenia.

Szczyci się poetka z tego, iż postawiła sobie za zadanie pocieszać serca smutne i kruszyć twarde.

Widzi w tem wielką zasługę ze swej strony.

Pociechy w tem, że zgryzoty łańcuchów mogą być potrzebne do harmonji hymnu na cześć Stwórcy, ja widzę niewiele! A co się zaś tyczy zaklęć poetki przeciwko duchowi nienawiści i pychy, uznaję, iż szczerze ma chęci poprawienia natury ludzkiej. Tylko czy wielka będzie z tego korzyść? Już doświadczenie, nie wiem ilu wieków, dowiodło, że nawoływawa-

nia poetów i proroków do skruchy i dobrowolnej poprawy nie skutkowały i przebrzmiewały bez śladu. Poetka zasłania się Chrystusem, powiada, że w tem Go naśladuje, lecz niech mi wolno będzie powiedzieć, że niezupełnie ma słuszość w tym względzie. Przed Chrystusem byli Rzymianie, Grecy, Żydzi i t. d., lecz nie było ludzi, On pierwszy podniósł ideę człowieka i w imię tej idei walczył i śmierć przyjął. On nie powiedział, że trzeba by Rzymianie, Grecy, Żydzi stali się dobrymi, gościnnymi i sprawiedliwymi, a wszystko dobrze będzie, lecz głosił, że odtąd niema ani Rzymianina, ani Greka, ani Żyda, a jest tylko człowiek. Największą przeszkodą zbliżenia się narodów były religje narodowościowe. Żyd wierzył w swego Boga, lecz równocześnie wierzył, że Grecy mają tak samo swego rzeczywistego Boga. Natomiast Chrystus podniósł sztandar religji wszechświatowej, Boga Stwórcy całego świata i wszystkich ludzi braci, a więc stare religje musiały runąć. Widzimy przeto, że ci, którzy bez zmiany warunków bytu chcą zmieniać i poprawiać naturę ludzką i wskazują na Chrystusa, jako na swego mistrza, nie mają najmniejszej racji.

Jeszcze słów kilka o szacie zewnętrznej rozbiernych poezyj.

Naszem zdaniem, pod tym względem pani Konopnicka, chociaż jest bodaj największym talentem z obecnych naszych poetów, jednak nie stoi na wyżynach twórczości. W poezji *M o j ż e s z* najdłuższej ze zbiorku, będąca tam motywem prawda, że i najwięksi ludzie mogą chwilowo zwątpić o swoich siłach i przez to zwątpienie rzeczywiście tracą swoją

potęgę aż do czasu nim w nich nie wstąpi na nowo duch wiary w siebie i swoje posłannictwo, każdy przyzna, że zbyt rozwlekle jest traktowana. Utwór Nadzieja nawet robi niesmaczne wrażenie wierszowanych definicij. Najrzewniejszym i najszczerszym uczuciem, dochodzącem często do porywającej siły, tchną Obrazki i poezje na nutę ludową wyśpiewane. Jest ich sporo. Za obdarzenie nimi literatury polskiej należą się pani Konopnickiej szczerze dzięki.

WSPÓLCZESNA BELETRYSTYKA ROSYJSKA *)

W krótkich zarysach pragnę scharakteryzować młodą beletrystykę rosyjską, idee przez nią wyznawane i obrazy w niej rozsnute.

Nauka obecnie usiłuje stać się pozytywną i zarazem demokratyczną. Chce gruntować się tylko na faktach i wyniki swe zastosowywać tylko do życia, a zarazem chce się upowszechnić w jak największej liczbie jednostek z pośród rozmaitych grup społecznych. Znakomitymi sprzymierzeńcami w tych dążeniach nauki stali się powieściopisarze. Badają i odtwarzają z całą prawdą życiową właśnie te zjawiska, którymi w danej chwili społeczeństwo jest zajęte, i przez to dają myśli społecznej materiał. Samowiedzę społeczeństwa o zjawiskach, w niem odbywających się, zwiększają potężnie, gdyż tysiące osób czyta powieść i czytanie zaleca innym tysiącom, a na studia suchej naukowej pracy tłumy nie mają czasu, ani są do tego przygotowane. Zszeregowanie więc i scharakteryzowanie obrazów, które współ-

*) Ma ta beletrystyka swoje główne siedlisko w miesięcznikach: *Otieczestwiennyja Zapiski*, *Dielo*, *Ruskaja Myśl*, *Ustoi i inne*.

czesna literatura rosyjska rozstrzuwa przed własną publicznością, wykazać może nietylko czem się obecnie rosyjska myśląca część społeczeństwa głównie zajmuje, jakie zjawiska najwięcej ją obchodzą, ale powinno również życie to rosyjskiego narodu dobitnie nam objaśnić. Nadto artysta nie zawsze zadowala się tylko wiernem przedstawieniem stron bytu, chociaż to jest głównem jego zadaniem i zasługą; po większej części wskazuje przyczyny i skutki zjawiska, orzeka o jego stosunku do życia całego, słowem, wypowiada swoje poglądy, swoją tendencję i staje się w ten sposób publicystą.

Strona publicystyczna do tego stopnia przeważa u niektórych pisarzy rosyjskich, że obrazy, rzucane obficie i z niepospolitym talentem, służą tylko do objaśnienia i utrwalenia w pamięci przewodniej myśli, którą autor wypowiada o istniejących stosunkach bezpośrednio i o ile można dokładnie i dobitnie. Gleb Uspienski (Iwanow), Złatorwatski, Szcedrin (Sałykow), pisarze najczęściej utalentowani, należą właśnie do tego kierunku. Streścić sąd najzdolniejszych członków społeczeństwa o najważniejszych objawach jego życia — to znaczy zobrazować stan jego.

1. Gleb Uspienski (Iwanow)

G. Uspienski zaczął pisać jeszcze w 60-tych latach (od 1866 r.).

Oddał się ludowemu kierunkowi, malując życie przeważnie tej warstwy, która ciągle koczuje ze wsi

do miasta i na powrót — robotników fabrycznych.

Odrązu pozyskał wielką wziętość.

Później, w siódmym dziesiątku lat, zmienił swój kierunek dotychczasowy, którym nie wyróżniał się z pośród wielu pisarzy noszących miano „narodników“. Zaczął z bólem serdecznym, ale konsekwentnie i dobitnie wykazywać sprzeczności, zachodzące pomiędzy naszymi wyobrażeniami, pojęciami o ludzkiej, o jego bycie i charakterze, a rzeczywistym życiem tego ludu. Ściągnęło to na niego gromy radykalnej i liberalnej krytyki, lecz wytrwale idąc w obranym raz kierunku, z biegiem czasu został niemal powszechnie zrozumianym i ocenionym.

Uspienski odtwarza życie ludowe nie tych głuchych miejscowości, gdzie lud wcale prawie się nie styka z innymi żywiołami. Przeciwnie, w jego powieściach występują włości, do których już doszedł zjadliwy, rozkładający oddech miejski i swymi popędami do zysku i nielitościwą walką o byt ze strony odosobnionych jednostek zaczął niszczyć podstawy obyczaju i dawne pojęcia prawne i moralne (spólnotę). Lud, żyjący odosobnionym życiem, doznaje jednak wpływu ze strony ogólnego ustroju społecznego i państwowego. Wszystkie grupy społeczne oddziałują ciągle na siebie przez tysiące spajających je łączników. Naturalnie, można wyodrębnić zjawiska, zależące jedynie od specyficznych warunków sfery rolniczej, i badać lud niby „sam w sobie“, lecz Uspienski robi to lepiej i głębiej patrzy na rzecz, gdy maluje całokształt życia ludowego.

Uspienski stworzył całą panoramę obrazów i po-

staci typowych, w których można badać dzisiejsze życie ludu. Lecz nie dał rdzennych typów ludowych, typów, w którychby się odbiły wszystkie cechy wybitne i wszystkie dążenia ludu rosyjskiego. Jedni powiadają, że przyczyną tego jest nieobecność takiego typu w życiu, inni, że na odtworzenie typu ludowego nie pozwala inteligencji brak znajomości ludu.

Poddaństwo, przez swe długie istnienie i przez to, że przeniknęło wszystkie stosunki włościanina, wytworzyło kilka powszechnych typów: psa, co życie niesie w ofierze za dobro pana głaszczącego go i bijącego na przemian, lub ponurego, złowrogiego, w głębiach serca zemstę knującego niewolnika. Warunki, których wytworem są te typy, przestały działać. Zastąpiły je inne czynniki. Lecz prawidłowe oddziaływanie nowej podstawy życia — uwłaszczenia — jest spacone i zneutralizowane przez liczne szczątki starego porządku. Nowe czynniki nie zdołały w przeciągu tak krótkiego czasu, jaki upłynął od wprowadzenia ich w życie, przetworzyć fizjognomji ludu. Dlatego wre ciągła walka starego żywiołu z nowymi warunkami i coraz to wyrazistsze formy, przybierane przez te nowe warunki, nie dają stałych, określonych, wszędzie i trwale powtarzających się typów. Przeciwnie, wszystko tu się zmienia coraz szybciej i szybciej, i nie wcześniej ustalili się jakiś typ, aż póki nowe warunki życia stanowczo nie przemogą starych.

Znaną jest rzeczą, że nie odrazu Kraków zbudowano. Takie zajęcie się ludem, jakie wyróżnia literaturę rosyjską, jest czemś zupełnie nowem, czemś,

czego przykładu dotąd nie było. W utworach beletrystycznych zachodnio-europejskich i tych, co je naśladowają, bierze się lud przeważnie ze strony sielankowej. Autor albo maluje obrazki obyczajów ludowych, albo co najwyżej, przekonywa swoich czytelników o tem, że i pomiędzy ludem są serca gotowe do poświęceń dla dobra ogółu, umiejące czcić, kochać i nienawidzić zupełnie w takich samych formach i zupełnie z takich samych pobudek, jak kochają, nienawidzą ludzie klas zamożnych. Współczesna beletrystyka rosyjska zupełnie i bezwarunkowo zarzuciła takie ustosunkowanie się do ludu; przeciwnie, pragnie poznać i objaśnić wszystkie dolegliwości i bóle ludu, pragnie wtajemniczyć się w jego aspiracje i nadzieje, słowem odtworzyć w postaciach typowych całkowicie jego sferę intelektualną i moralną. By powstały dzieje jakiegoś narodu, trzeba okresu, w którym ludzie pracowici poświęcają się żmudnemu obrabianiu materiałów i dopiero wtenczas, kiedy nabiera się ich dostateczna ilość, zjawia się genialny historyk, który daje im życie, spaja różnorodne części w całość jednolitą. Uspienski i inni dzisiejsi ludowi powieściopisarze są to pracowici zbieracze materiału, który da możliwość następnemu pokoleniu, posiłkującemu się tym materiałem, obserwację jego uczynić głębszą, bystrzejszą i odtworzyć już życie ludu nie w częściach oderwanych, lecz w całej pełni. Opowiedziawszy, jak włościanie zabili złodzieja koni, i jak się ten wykwalifikował na zbrodniarza, Uspienski dodaje (Z pamiętnika wiejskiego):

„Gromada oddawała w dzierżawę prawo wyszynku

za 200 rs. Dlaczego przy tej sposobności nie znalazł się nikt, co by powiedział: „Powiem wam bracia, co do pieniędzy z wyszynku — jest u nas chłopczyk, sierota, bez ojca, matki... Kupilibyśmy z tych pieniędzy krówkę, nawet sam mam krowę do sprzedania...

— Cóż chcesz za swoją tu krowkę?

— A sądzę tak, oddajmy tego chłopca z krowką tam, gdzie więcej jest biedy. Ot u nas jest staruszka, co z córką bez męskiej pomocy grzebie się na świecie, tam znów dziewczka samiuteńka jedna ledwie że wyżyje, żadnego niema od nikogo ratunku. Dajmy im krowę, to może same przy chłopcu lżej trochę odetchną. Pieniądze gromadzkie i tak zapewne pójdą niewiadomo na co... I cóż to znaczy z 200 wyszynkowych oddać na krowę 15! Przynajmniej człowiek nie zginie. A jak podrośnie, to można będzie i nauczycielowi za niego zapłacić, wyrośnie, nauczy się pisać, wdzięczny nam będzie, a jeżeli rozumem go Bóg obdarzy, to może pisarzem będzie naszym... Czy prawdę mówię, prawosławni?...”

„Wcale nie wątpię, że gdyby ktokolwiek powiedział coś podobnego, to by się odezwały z początku pojedyncze głosy współczujące, a zatem nastąpiłoby i ogólne przyzwolenie na taki projekt. Najlepiej by było, gdyby się znalazł człowiek, któryby przykładami wykazał los, czekający Fiediuszkę (sierota a następnie koniokrad), któryby napomknął przytem, że i tak przecież te rubli 15 gromada odda Iwanowi, potrzebującemu pieniędzy na duży, prowadzony przez niego handel, za wielkie procenta, np. 2 grosze od rubla na miesiąc, a do tego Iwan postawi jeszcze

wiadro wódki gromadzie.. Dobrze by było, gdyby właśnie tem wiadrem zawstydził gromadę, mówiąc: „Cóż to, bracia, czy już swej wódki nie mamy? Wy- pijemy wódkę, a sierotę zostawimy bez pomocy i do- zoru? Najlepiej jednak byłoby, gdyby ktokolwiek- bądź odmalował przyszły los chłopca, jeżeli groma- da zostawi go bez pomocy. Kto go darmo przyj- mie? Każdy ma dosyć swoich kłopotów. Za pienią- dze zaś znajdzie się człowiek, co przyjmie, wykarmi i wyhoduje. Pieniądze mamy, więc dajmy, bo jeże- li nie damy, to chłopiec zepsuje się, rozbałamuci, a wkrótce i do więzienia wpadnie.. A z więzienia, sami wiecie, jakimi ludzic wychodzą. Mszcząc się później, żeśmy na niego piętnastu rubli pożalowali, duszę jego zgubili, złodziejem zrobili, może szkody nam narobi, wieś podpali, albo zacznie kraść konie“...

„Gdyby tak było, to bezwątpienia Fiediuszka po- zostalby przy życiu, nie byłby złodziejem, nie miał- by potrzeby utrzymywać się rujnując swego brata- włościanina. Lecz w rzeczywistości Fiediuszka stał się złodziejem, niszczycielem, a ponieważ został za- bity, a zabójcy jego uniewinnieni, więc chcąc nie- chcąc musimy stąd wnioskować, że scena, jakąśmy powyżej opisali, nie mogła mieć miejsca.. Do tego stopnia nie mogła się odbyć, że i teraz nawet wy- daje się czytelnikowi fałszywą. Takie sceny może- bne są tylko w sentymentalnych powieściach, a za- tem gdybym przedstawił włościanina, jak przemawia na zebraniu gromadzkim o obowiązku gromady opiekowania się sierotą, każdy mi powiedziałby, że to jest nieprawda, fałsz, tego nigdy nie bywa; że sielankę, a nie rzeczywistość maluje“.

Co się tyczy strony artystycznej utworów Uspienskiego, to w tej mierze najlepsze pojęcie dają własne jego słowa.

„Czemu lud zachował twarz śmiałą i umysł żywy? Od ludu odpowiedzi nie otrzymamy, i by to zrozumieć, trzeba, byśmy sami przewertowali wszystko w chacie, w chlewie, w spiżarni, gumnie i na polu.. Praca drobiazgowa i nieprzyjemna! Uskarżacie się ciągle, że niema literatury nadobnej, że tylko o chłopie piszą; najpierw to nieprawda, co miesiąc macie stosy utworów literackich, gdzie o chłopie nic niema i które są bardzo ładnie napisane. Powtóre, po co czytacie o tym chłopie i przedewszystkiem, po co sądzicie, że prace te należy zaliczać do literatury nadobnej? Przyjrzyjcie się uważniej tytułom tych prac; tam napisano: notatki, szkice.. Jakaż to jest sztuka piękna? Jest to poprostu przygotowawcza praca literacka, a na literaturę nadobną prawdopodobnie wypadnie poczekać“.

Damy teraz krótkie streszczenie ważniejszych kwestyj, poruszonych przez Uspienskiego.

Wieś rosyjska — spółnota — gdzie człowiek znajduje bliskich i w potrzebie punkt oparcia nietylko w swojej rodzinie, ale i u całej gromady, a miasto — wir walk o grosz, walk odosobnionych, nieuregulowanych — są to dwa sprzeczne światy. Mechanizm społeczny (w postaci nędzy) pędzi włościan do miast po grosz i chleb. Tu się styka człowiek przyzwyczajony do pojęć gromadzkich, nasiąkniętych spółnotą i nacechowanych pracą rolniczą, z zupełnie in-

nymi ludźmi, miejskimi. To zetknięcie się wieśniaków z warunkami, będącymi wynikiem życia opartego na zupełnie innych podstawach, dało treść kilku pierwszym utworom naszego autora. (Szczegółowo porusza tematy tego rodzaju Złatorwatskij, beletrysta, rówieśnik Uspienskiego). Naturalnie, młyn życia zwykle na miazgę miele ludzkie przyzwyczajenia i jednostki dostrajają się do nowych wymogów, ale przytem cierpień bywa niemało, a czasami tym cierpieniom ktoś podołać nie może.

Oto robotnica-najemnica pracuje jak wół na swego gospodarza. Sprzykrzywszy sobie niemiłosierny wyzysk, spotęgowany złem obejściem, idzie szukać szczęścia i pracy do Petersburga. Tu znajdują ją zwiędłą, półpijaną w dorożce. Koło życia zmiążdży i najmocniejszy charakter!

Oto włościanki gnane nędzą idą do miasta, tam stają się szwaczkami. Oglądamy całą ich kolonję i jesteśmy świadkami stopniowego ich upadku. Choć każda przyrzekała sobie pozostać czystą wśród błota miejskiego i chociaż bieg życia nie wszystkie do niego spycha, ale ostatecznie, stopniowo jedna po drugiej ulegają temu smutnemu losowi. Warunki życia są silniejsze od ludzi: praca ciężka, piekielna, brak wszelki jakichbądź zajęć umysłowych — oto objaśnienie faktu i uniewinnienie nieszczęsnych!

Żelazne są warunki życia, a walka z nimi niemożliwa dla ludu! Żołnierz, którego żona weszła na rozdroża, powrócił do domu. Ciężkiem okazało się życie żony, czującej wyrzuty sumienia, a pod wpływem opinji sąsiedzkiej, pożycie małżeńskie dla biednej kobiety stało się niemożliwym. Udusiła się! Mąż

opowiadający o tem, wcale nie wini ani siebie, ani żony, ani ludzi, — wszystkiemu winien los gniotący nas, nielitośny!

Brak wszelkiego ideału, cokolwiek szerszej myśli, życie, którego teraźniejszość jest zależna od nieustannej pracy, a w przyszłości również taka sama praca widnieje, warunki higieniczne otaczające lud, jego pokarm, wszystko zmusza go pić dla posiłku, dla zapomnienia niedoli i dla zakosztowania jakiej takiej radości. Napróżno chłop czasami zarzeka się, iż pić wódki nie będzie, życie silniejsze od woli człowieka niweczy jego zamiary. Chłop zapomina przysięgi, a nawet choć o niej pamięta, to znów „nie podobna obyć się bez wódki, takim już jest nasz los“.

Smutne wrażenie sprawia doraźna zemsta ludu na swoich wrogach, złodziejach, a osobliwie koniokradach. Przed nami sierota, o którego wychowanie gromada wcale się nie troszczyła. Chłopiec wyrósł na złodzieja, trudniącego się kradzieżą koni. Wpadł w ręce włościan i został zabity, chociaż nikt go nie chciał zabić, lecz tylko każdy chciał mu wypłacić swoją część nienawiści. Po dodaniu tych części okazało się, że szturchańców, kułaków i kopnięć aż nadto było dostatecznie do zabicia człowieka. Znowu włościanie są bezwiednymi narzędziami sił i stosunków życia. Nie pamiętają, że ktoś na złodzieja się wykierował z winy gromady. Czują i przyznają, że zabić go nie należało. Ale nienawiść i gorczyz, mająca takie nieprzeliczone mnóstwo sprawców, rodzi to, że skoro lud zetknie się z jednym z nich, wcale nie najwinniejszym jego niedoli, biada mu! Poniesie karę za wszystkich.

Uspienski zwraca na to uwagę, jak się wytwarza-
ją w ludzkiej naturze instynkt doraźnej, pięściowej rozprawy,
w poszukiwaniu sprawiedliwości. Już zabicie konio-
krada rzuca na to światło. Niedostępność sądów dla
ludu i to przekonanie, że na silnych swych wrogów
(kupców, kułaków, urzędników) lud satysfakcji w są-
dzie nie znajdzie — oto źródło i usprawiedliwienie
pięściowej rozprawy. Uspienski nie tylko wskazał
źródła tej cechy charakteru ludowego, ale i zobra-
zował formy w jakich się przejawia. Okrucieństwo
z jednej strony i jednocześnie bezwarunkowe uwiel-
bienie, cześć brutalnej siły, tepe poddanie się pro-
stej przewadze fizycznej z drugiej, oto smutne, ale
rzeczywiście istniejące wyniki życia ludowego.

Bieda przygniotła lud ze straszliwą zawziętością!
Gdy więc cały tłum biedaków niezaradnych, bez
jakichkolwiek zasobów, ugina się pod ciosami nędzy
i siania się rozpaczliwie od szynku do szynku w nie-
licznych chwilach wolnych od pracy, naturalną jest
rzeczą, że w niektórych zdolniejszych i sprytniej-
szych głowach rodzi się myśl wyniesienia się kosz-
tem swych braci, wyzysku do ostatka tej nędzy, do
której szeregowi sami należą, chociażby zsolidaryzo-
wani byli z niemi obyczajem i tradycją. Nowe ży-
cie, niszcząc rację bytu wspólnoty, wprowadzając
tryb gospodarowania konkurencyjny, mieszając ze
sobą stany, a więc rzucając w szeregi ludu pracu-
jącego wiele osób z innych warstw (którym są nie-
znane zasady wspólnoty), sprzyja wytworzeniu się eks-
ploatora - włościanina, charakterystycznie zwanego
kułakiem (*Derewienskaja nieuradica*).
„Chętnie wierzymy w zły wpływ na wieś żywiółów

napływowych, lecz żadną miarą nie możemy w ten sposób objaśnić powstawanie kułaków, t. j. wyodrębnienie się z masy wieśniaczej jednostki, eksploatującej tę masę. To właśnie jest smutnem, że kułak jest zjawiskiem nienapływowem, a rodzimem, nie plamą, dającą się zmyć, lecz organicznem cierpieniem. Najwięcej jednak upokorzenia i goryczy sprawia nam to przekonanie, iż obecnie na wsi niema nikogo równającego się kułakom siłą i wyrobieniem w technice i przebiegłości. Czy jest obecnie cokolwiek choć przybliżenie tak mocno wkorzonego i udoskonalonego w zakresie, dajmy na to, samopomocy, jak jest udoskonalona samopomoc wyzysku ze strony kułaków? Czy istnieje jakiegokolwiek zjawisko wręcz odmiennego charakteru, a mające jakiegokolwiek znaczenie i cieszące się jakimś powodzeniem? Mówiąc bezstronnie i nie lękając się zarzutów, powinniśmy powiedzieć, iż nic podobnego niema; przeciwnie, w kułakach widzieć możemy kwintesencję ludowego rozumu, talentu, zdolności. Zwróćmy uwagę na to, ile powinien myśleć człowiek, co się stał kułakiem, ile powinien obserwować siebie i innych i jak dobrze znać ludzi, charaktery, wogóle życie. Rozważwszy to wszystko poważnie, przekonamy się, że kułak powinien być bardzo rozumny i bardzo utalentowanym człowiekiem. Czasami w działalności kułaków przebłyskują rzetelnie genialne zdolności, a jednocześnie nie podobna nie dojść do przekonania, że nigdzie niema równie silnego rozumu, talentu, spostrzegawczości, wogóle zdolności — ani w sprawach gromadzkich, wspólnoty, ani w stosun-

kach familijnych. Cóż znaczy to zjawisko? Dlaczego rozum, talent z samego początku (co będzie dalej, nie przepowiadamy tego, mówimy tylko o chwili obecnej życia wiejskiego) idą w takim złośliwym, wrogim i rujnującym kierunku dla ludu? Kułak przeniknięty jest nienawiścią do pana, jak i chłopu. Zobopólny interes, zdawałoby się, każe połączyć się panu i chłopu dla zgniecenia tej wcielonej nienawiści, lecz rzeczywistość przedstawia zupełnie co innego. Pan nie dotyka kułaka myśląc sobie: „zobaczymy, jak będziecie żyć teraz usamowolnieni Zabierze was kułak w łapę — przypomnicie sobie o panu, ale za późno już będzie“!.. A chłopci nazywają kułaka szelmą, ale czyż mogą go winić o to, że gnębi pan. Wszyscy nazywają go szelmą, ale dodają: szelma, przecudownie oszukał głupca, tak mu się należało. Wszyscy go chwają, a włościanie. czczą w nim swój chłopski rozum, talent, zdolności... I czyż jest obecnie inna droga dla rozumnego energicznego włościanina niż stan kułaka? siła kułaka jest wielka i u pana i u zwierzchności bądź wskutek współczucia, a nawet bądź wskutek niemożności niewspółczucia moralnym zasadom kułaka (którymi, wierzymy w to mocno, wkrótce przesiąkną wszystkie warstwy społeczne). Kułak zna wszystkich, rozumie wszystkie stosunki wiejskie, może opowiedzieć wszystkim o wszystkim. Dla tego też jest filarem ważniejszych spraw i doradcą ogólnym. Działalność kułaka jest obecnie najbardziej imponującym zjawiskiem na wsi. Nic więc dziwnego, że nowe pokolenie włościańskie, zapatrując się

na najwybitniejsze wzory życia ojców, przesiąka temi samemi ideami i dążnościami.

Przed oczyma chłopca stanęła ta prawda, że całe zbawienie, jego szczęście, wolność i dobrobyt, zależą od posiadania pieniędzy. Pieniądze obecnie to fetysz, bożyszcze chłopca! Wytworem tego ogólnego prądu jest kula k, wyzyskiwacz swoich współbraci. Lecz nie każda osobistość silniejsza staje się wyzyskiwaczem. Są pomiędzy ludem jednostki o rozwiniętem uczuciu altruistycznym, które nie dozwala im pójść za ogólnym prądem — więc protestują. Prawie każdy taki protestujący jest mistykiem. Nie ugania się za groszem, życzy wszystkim dobrze. Nikt go nie rozumie, a i on nie rozumie racji nowego prądu — pogoni za kopiejką. To też jego działalność obecnie jest żadną. Oprócz zmarnowania życia, oprócz mnóstwa niepowodzeń i rozbicia wszystkich nadziei, jakie kiedykolwiek żywił, nic go innego nie czeka. Protestujący, niezadowoleni z nowego prądu, zwracają się ku przeszłości. Oprócz niewolniczego trzymania się tradycji, nic nie mogą wytworzyć, bo oczy ich zasłonięte są tą ciemnotą i tym chaosem stosunków i pojęć, jakie obecnie odgrywają rolę na wsi. Kula k zastosował się do prądu, który idzie z góry. Wszystko, co idzie z góry, zdradza, potwierdza, wspomaga i usprawiedliwia wśród ludu dążność do zysku i korzyści pieniężnej. Nie dziw, że dążenia zdolniejszych jednostek pod wpływem okoliczności, tak sprzyjających egoistycznym prądom, stanowczo odlały się w formę wstrętą kula k a. Nic też dziwnego, że protest nieumiejętny dziwaczne przy-

biera kształty, ludowi korzyści nie przynosi, a protestującym same cierpienia.

Ciemnota ludu nie pozwala mu zrozumieć zjawisk i działań otaczającej go przyrody. Przyroda przedstawia się jego oczom jako szereg zjawisk następujących po sobie nie jako skutki i przyczyny, ale jako dowolne wypadki, którychby mogło nie być, gdyby nie chciał tego Bóg, czy los jakiś. Ustrój społeczny zewsząd ciśnie lud, źle mu nietylko od zimna i dżdżu. Lud czuje, że są i inne przyczyny jego niedoli. Brak wszelkiej wiedzy o życiu ludzkim nie dozwala mu się w nich zorjentować. Owocem tego wszystkiego jest fetyszystyczny i mistyczny kierunek umysłu.

Przejawy tej cechy myśli ludowej są liczne w powieściach Uspienskiego.

Niedola lud otacza, a krzywda go zewsząd dławi. Ani prawdy, ani pociechy lud nie znajduje na ziemi. W następstwie tego zjawia się prorok, głoszący: „niema wiary na ziemi, przedewszystkiem o niebie pomyślcie... Spokoju nigdy nie znajdziecie, jeżeli naokoło siebie szukać go będziecie. Ty skarżysz się na żonę... a ty na męża... was karzą, a lepiej wam nie będzie, bo ziemskie pomiędzy wami się zamieszło. Uciekajcie, zapomnijcie krzywd ziemskich, oddajcie się Bogu... Niech ucieka żona od męża, mąż od żony, a syn od złych rodziców“. Powstaje w lasach kolonja sekciarzy, którym dobrze się dzieje przy pracy wspólnej i życiu wspólnem. Lecz umiera prorok, a przepowiednie o prognostykach jego świętości nie ziściły się. Nie zważając na oczywistą korzyść, jaką nowy ustrój pracy przyniósł dla dobro-

bytu włościan, sekta się rozprzęga, bo się okazało, że w niej niema tej prawdy, której wciąż lud szuka. Dążenie do wybicia się z nędzy okrutnej związane jest z wiarą w ascetę, co sobie wbija pod skórę drzazgi. Niknie wiara w świętość proroka i — oto ludzie rzucają organizację, którą wytworzyli w imię tej wiary. Ten mistycyzm daje się wyjaśnić umysłowym poziomem ludu.

Ciekawe są przejawy udziału klas wyższych w życiu ludu, a osobliwie dążenia inteligencji do szczęścia i dobra ludu, oraz formy, w jakich występuje to dążenie.

Oto dobroduszny idealista idzie na wieś, chcąc wszystko, a nawet siebie (swoją umiejętność jako kierownik) poświęcić ludowi. Marzy o założeniu stowarzyszenia wytwórczego na zasadzie udziałów pracy. Wszystko się rozbija o winy ojców, — o kompletną niezdolność chłopów zrozumienia dobrych zamiarów pana i o niezdolność pana stać się bratem włościanina, przynajmniej bratem z ducha. Pan w swych dążeniach gotów wszystko oddać ludowi, ale w swych przyzwyczajeniach zawsze pozostał panem. Dość było tego, że przyjechawszy na wieś dał na wódkę tyle, ile tylko wyciągnął z kieszeni, by nazawsze już w oczach ludu zostać panem, który co najwyżej — da się naciągać...

* * *

W roku 1882 Uspienski wiele drukował: Właściwości ziemi (Potęga ziemi), Bóg jest cierpliwy, Nie z własnej woli, Rawnienie pod odno (Do jednego mianownika). Charakter człowieka

wytwarza się pod wpływem warunków życia. Tak samo charakter i cały byt gromady ludzkiej są wytworem tego otoczenia którem uwarunkowane jest jej istnienie. Lud rolniczy doznaje na sobie przedewszystkiem wpływu ziemi. Ziemia jest górującym czynnikiem w życiu ludowem; lud wciąż pracuje tylko nad obróbką ziemi i jedyna tylko ziemia zapewnia mu byt. A więc pojęcia ludu religijne, prawne, moralne i obyczajowe mają na sobie niezatarte ślady pracy rolniczej. Lud przetrwał jarzmo tatarskie, ździerstwa Birona: wszystkie najgwałtowniejsze uciśki nie zmieniły jego obyczaju i tych podstaw, które obecnie stanowią o t. zw. duchu ludowym. Lud obroniła ziemia, która go karmi i którą on nawzajem potem swoim poi. Stosunek to istniejący w każdym ludzie, w każdym kraju. Trwałością, niezmiennością zasad życia odznacza się nietylko lud rosyjski, ale i każdy inny! Uspienski więc najwpierw maluje wpływy tej potęgi ziemi: jak z jednej strony lud niewolniczo słucha rozkazów swej matki-karmicielki, a z drugiej jakie w niem wytwarzają się idee, by się dostosować do swej matki-karmicielki z największą dla wszystkich korzyścią. Dopóki więc trwa ścisły związek włościanina z ziemią, dopóty będą trwałe niewzruszenie podwaliny życiowe wspólnoty — formy bytu, wywołanej nie własną wolą ludzką, lecz wyrosłej z pracy rolniczej współsąsiedzkiej tak naturalnie, jak wyrasta trawa z ziemi. Lecz po formie włościańskiej związek włościanina z ziemią został naruszony. Ziemia obecnie nie może być matką-karmicielką wszystkich, bo lud posiada tej ziemi zbyt mało, w ilości wcale niewy-

starczącej na jego potrzeby. A więc upada związek ścisły pomiędzy ludem a ziemią; lud od nędzy i śmierci głodowej tłumnie ucieka, rozbiega się do miast, na fabryki, emigruje na osiedlenie do miejsc bezludnych. Stare podstawy życia — spółnota — upadają, a na ich miejsce podnoszą się nowe — k u ł a k, powszechny wyzyskiwacz. Bożyszczem staje się kopiejka, a walka o byt i nagromadzenie kopiejek — moralnością. K u ł a k więc powstaje skutkiem tego, że spójnia pomiędzy ziemią a włościaninem znika, że chociaż życie obecnie (jak i zawsze) zasadza się na pracy rolniczej, ale jest to życie w nędzy, w biedzie. Życie zaś w dostatku, samodzielne, polega na obrocie kapitałami, na prowadzeniu geszeftu.

Ziemia, a raczej praca rolnicza, wytworzyła cały ustrój życia włościańskiego. Wierzenia jego, święta, przepowiednie, prognostyki złe i dobre — całkowicie noszą na sobie charakter rolniczy. Obyczaje, np. czas zawarcia ślubu, nawet stosunków płciowych między małżonkami, uwarunkowany jest pracą rolniczą (by robotnica nie odrywała się od pola, broń Boże!). W imię tego, że włościanin istnieje, powinien istnieć i ma rację bytu tylko jako robotnik, ciągle nad rolą pracujący — w imię tego dzieje się wiele rzeczy pięknych, ale i wstrętnych. Aby włościanin był dobrym synem ziemi, trzeba by posiadał dostateczny jej obszar, narzędzia rolnicze, inwentarz i nasiona w dobrym stanie i aby skutkiem wypadku to straciwszy, nie potrzebował koniecznie staczać się w nędzę, ale przeciwnie, by mógł dostać co mu potrzeba. Otóż ideał włościanina za czasów poddaństwa zadowalał te wymagania, chociaż

we wstrętnej formie. Poddany był zwierzęciem roboczym. Lecz aby dobrze i nieprzerwanie uprawiało ziemię, powinno było to zwierzę zawsze posiadać chałupę, inwentarz, krowę i konia, ziarno na zasiew i odpowiednią ilość ziemi. W wypadkach nadzwyczajnych nieszczęść chłop nie był doszczętnie zrujnowany: pan dawał mu te niezbędne narzędzia pracy, bez którychby chłop—robocze zwierzę! — nie przyniósł korzyści panu. Jednym słowem, chłop poddany, choć był jako robocze bydło, nie był rujnowany i życie jego, acz niesłodkie, jednakże opierało się na ścisłym związku z ziemią. Praca rolnicza wytworzyła podstawę pewnego ustroju—spółnotę: poddaństwo ze swojej strony wpływało ujemnie na stan umysłowy, moralny i materialny ludu. To też za idealne, dobre, godne wskrzeszenia wcale go nie uważa Uspienskij. Etyka włościańska względem panów wypływała z poddaństwa i przedstawiała jedno, nieprzerwane pasmo urągowań nad ludzką godnością i naturą. Etyka włościańska względem samych siebie wypływała z pracy rolniczej; dołączała się i tu jad innych stosunków, lecz wogóle górującym prawie czynnikiem wytwarzania obyczajów i pojęć włościańskich o spółnocie, o gminnych sprawach była praca rolnicza osób, zamieszkujących obszar jednej wsi. Upřednio daniny nie mogły zrujnować włościan, bo pan przecież wiedział, że odebrać narzędzia pracy włościaninowi dla ich zapłacenia byłoby ze szkodą dla niego samego. Obecnie tak nie jest! Obecnie nietylko właściciel nie traci nic na zrujnowaniu chłopca, lecz przeciwnie wygrywa na tem — ma tańszego i chętniejszego do najmu ro-

botnika. Chłop, któremu zagraża ruina z powodu sprzedaży konia, biegnie do sąsiada i sprzedaje mu przyszły zbiór siana za bezcen. Sąsiad sam ma za ledwie kilka rubli, ale przy powszechnej wielkiej nędzy to i nieudana bieda potrafi być stroną wyzyskującą. Gdy po uwłaszczeniu włościanie dostali ziemi mało, a podatków dużo, tem samem i spójnia z ziemią naruszoną została. Główną troską włościanina i zadaniem samorządu włościańskiego stało się wypłacanie regularne podatków. O tem myślą i marzą.

Rubel i kopiejka — narzędzia wypłaty — stały się bożyszczem. Nędza, panująca pomiędzy ludem, dała możność tym co mają pięć kopiejek, zarobić łatwym sposobem dziesięć nie pracą, lecz wyzyskiem cudzej pracy i nędzy. Wyzysk się rozwielił. Zamożność kułaków zrobiła z nich miejscową arystokracją, która wprowadza nowe mody, nowe obyczaje. Oto córka kułaka do cerkwi wystroi się jak królewna, trzewiczki, wstążeczki błyszczą i wabią do dziewczki parobków. Wszyscy są przecież równi i czem są gorsze inne dziewczki! Chcąc nie chcąc wszystkie nad siły swoje starają się ubrać tak samo, jak i córka kułaka. Urodziwa sierota nie dopija, nie dojada, a pracuje kompletnie nad siły swoje, by kupić trzewiki na korkach. Umysł włościan współczesność zjawisk miesza z ich przyczynnością: to też ci którym obecnie gorzej się dzieje, a osobliwie starzy, w których potrzeba swobód nie rozwinęła się jeszcze jako coś organicznego, całkowitą winę niedoli zwalają na nowe porządki. Kułaki chórem wysławiają nową epokę. Uspienski rzecz przedstawia w żywych rozmowach

i odezvaniach włościan — to też trochę krzyczano w rosyjskiej publicystyce postępowej, że ciągnie on w stronę poddaństwa.

Ostatnie szkice Uspienskiego są: *Bóg jest cierpliwy i Nie z własnej woli*. Pomędzy innymi kwestjami, w tych szkicach poruszonymi, charakterystyczne jest szczególnie zobrazowanie poglądu ludu na panów na tle chwili bieżącej. Letnią porą na odpoczynek przyjechało dwóch literatów do wsi. Lud surdutowych zalicza do panów i zaczął się wywiadywać, z czego się ci utrzymują; dowiedziawszy się, że nie są ani właścicielami ziemskimi, ani urzędnikami, ani adwokatami, a utrzymują się z własnej pracy, lud zaczyna ich podejrzewać, a policja wiejska mieć ich na oku. Chłop nie może zrozumieć, by pan utrzymywał się z własnej pracy! Zawsze odszukuje źródeł dochodu pańskiego w jakimś uprzywilejowanym stanowisku i jeżeli tego nie znajdzie to staje w zdziwieniu, które przy obecnym nastroju umysłów przeszło w podejrzenie, że tam coś musi być — niedobrego.

2. Mikołaj Złatowratskij

Uspienskij przyjmuje spólnotę jako fakt, jako twór „potęgi ziemi“ — pracy rolniczej i wykazuje przyczyny, które niezważając na zupełną naturalność i swojskość tej instytucji podkopują i niszczą jej istnienie, a nawet wytworzyły ogólny potężny prąd wyzysku i na czele gromad wiejskich postawiły kula.

Złatorwatskij przedstawia również w swoich utworach stwierdzoną już sprawę rozkładu spółnoty. Ale się inaczej do swego zadania ustosunkował. A mianowicie przede wszystkim stara się wtajemniczyć w zapatrywania samego ludu na obecny stan tej instytucji.

Gubernię Włodzimierską, z której pochodzi, Złatorwatskij obrał za pole swych badań nad ludem.

Tu spotykać jeszcze można w tem samym miejscu, obok siebie, rzadkie już gdzieindziej typy.

Istnieje tu postać „pańskiej staruszki“ — głuchej, ślepej, nawpółzapomnianej, wylewającej w nieustannym zrzędzeniu na „wolne porządki“ zawiedzione nadzieje na pański gniew i łaskę pańską.

Tu też spotkać się daje szeroko rozpowszechniony typ romantyka wiejskiego, jaki powstał w okresie uwłaszczenia — ufego, wierzącego w „prawdę i miłosierdzie“. Z nieprzełamanym uporem czeka na „wyrównanie“ „powszechnych nadziałów“, jakie powinno koniecznie dać świadectwo o istnieniu na ziemi „prawdy“.

A jednocześnie spostrzec można, jak obok tego romantyka szybko wzrasta inny zastęp — ludowych sceptyków i pozytywistów.

To są podstawowe postacie wyraziście rzucające się w oczy. Ale pomiędzy nimi istnieje całe mnóstwo podrzędnych stopniowań: indyferendystów, strapiionych, chciwych, swawolnych hołyszów z jednej strony, rygorystów, ascetów z drugiej...

W puszczech północy można dotychczas badać pierwotne kształty spółnoty, ale Złatorwatskiego „obchodzą nie tyle archaiczne, wymierające formy, ile

współczesna, żyjąca, walcząca o byt, rzucona w wir najrozmaitszych oddziaływań i wpływów spólnota“. A zapatrywania swoje na odtworzenie życia ludowego Złatowratskij wypowiada w następujący sposób: „Co też to za fantastyczne głupstwa nagadali nam pp. Haxthauseny, Maine'owie, Laveleye'owie i inni o jakichś tam pierwotnych ludowych ideałach, istniejących w Rosji, a odrębnych od europejskich! Weźcie artystyczne ludowe typy literatury rosyjskiej u pierwszorzędnych pisarzy, np. Puszkina, Turgieniewa, Tołstoja, Pisiemskiego, lub u drugorzędnych, już specjalnie ludowych: Grigoriewicza, Potiechina, M. Wowczka i innych, i powiedzcie, gdzie tu jest choć jakakolwiek wskazówka odrębności świata psychicznego, jako wyniku odwiecznych zasad spólnoty? Gdzie są wyraziste, charakterystyczne obrazy życia spólnoty? Pisarze ci tworzyli zarówno historyczne epepeje ludowe jak i powieści współczesne; dali moc postaci chłopskich — kochających i nienawidzących, pokornych i protestujących, bardzo rozumnych i idjotów, rozpustnych i anielsko-niewinnych, moralistów wyższej potęgi i podobnych do zwierząt. Lecz powiedzcie mi, gdzie w tych postaciach tkwi ogólna cecha, któraby świadczyła, że to wszystko są ludzie spólnoty, że wszyscy rodzą się, żyją i umierają w charakterystycznych warunkach bytu spólnoty?“.

Złatowratskiego więc przedewszystkiem interesuje to piętno, które nakłada na kierunek myśli ludowej spólnota (*Dierewienskije budni*).

Powieściopisarze, odtwarzający lud, obserwują go, że tak powiem — z ubocza. O tem badaniu z ubocza Złatowratskij powiada że „zawsze połączone jest

z postronnemi tendencjami: poddańczemi, protektor-
skimi, sentymentalnemi, spekulanckimi, stosow-
nie do tego, z której strony podpatruje go i przed-
stawia badacz postronny. Zważywszy to, myślący
czytelnik zacznie powątpiewać o prawdziwości od-
tworzenia życia ludowego przez tych „postronnych
badaczy“. „Jest to rzecz zupełnie naturalna, bo dla oce-
ny niema stałego kryterjum. Takie kryterjum czy-
telnik mógłby otrzymać albo od poszukiwań nauko-
wych w dziedzinie bytu ludowego, albo od artysty
bezpośrednio-ludowego, człowieka któryby sam wy-
szedł ze spółnoty“. Zdaje mi się, że zdanie to nie-
zupełnie jest słuszne. Życie ludu trzeba odtwarzać
jak najwierniej i jak najbezbstronniej, ale to może
zrobić człowiek niekoniecznie pochodzący z ludu.
Trzeba tylko, by pisarz znał dobrze lud, widział ca-
łe jego życie i odczuł wszystko to, co sprzyja, gro-
zi, pociesza, smuci, przynosi korzyść i szkodzi chłop-
kowi. Przodujący rosyjscy pisarze ludowi (t. zw. na-
rodnicy) niektórzy pochodzili z ludu, a już stanow-
czo wszyscy, wskutek biegu swego wychowania
i dalszych losów życia, doskonale znali lud, bo żyli
z nim jednym życiem. Pochodzący z ludu wcale nie
odtworzą wierniej ludu, niż ci którzy z innych
warstw wyszli. Urodzony w chacie włościańskiej pi-
sarz, odebrawszy wykształcenie, potrzebne na to, by
się stał autorem, zmienia zupełnie sposób myślenia,
zupełnie inaczej niż lud objaśnia sobie wszystkie
przejawy życia spółnoty. Pozostaje po jego stronie
tylko ta wyższość, iż zna dokładnie fakty życia lu-
dowego. Gdybyśmy zebrali wyjaśnienia ludu same-
go o wszystkich przejawach jego życia (co jest bar-

dzo trudnem, acz ciekawem i ważnem), to trzeba by pamiętać, że to są tylko „wyjaśnienia ludu“, ale niekoniecznie rzeczywiste wyjaśnienia przyczyn, z których powodu lud się ma tak a nie inaczej. Albowiem gdyby lud znał przyczyny swych nieszczęść i zupełnie rozumiał swe położenie, to już dawno wybrnąłby z błota niedoli i łąz w którym obecnie przebywa.

* * *

O osobie Złatorwatskiego mogę tylko tyle podać wiadomości, ile ich znalazłem w jego dziełach. Jest to pisarz w sile wieku, który dopiero co zdobył sobie imię rozgłośnie, ale jeszcze nie rozwinął całej potęgi talentu pisarskiego. W jego utworach jeszcze daje się odczuwać brak perspektywy i miary. Wszystkie uderzają nagromadzeniem wiadomości i obrazów najciekawszych i poruszeniem kwestyj palących, ale obrazy i myśli tłoczą się bez symetrii i harmonji, przeszkadzając sobie wzajemnie przy oddziaływaniu na uczucie i umysł czytelnika.

Pochodzi Złatorwatskij, jak powiedzieliśmy, z Włodzimierskiej gubernji. Ojciec jego był drobnym urzędnikiem w małej powiatowej mieścinie, syn wychowywał się w gimnazjum. Dla chleba zdaje się skończył geometrję, na którą to umiejętność podczas uwłaszczenia był wielki popyt. „To było bardzo dawno, wkrótce po uwłaszczeniu. Zajęty byłem podczas letnich wakacyj daniem lekcyj w domu pośrednika mirowego... Przeszło dwa czy trzy lata, znów zaniósł mnie los do tych miejscowości, lecz już jako geometrę“. Utworami swemi robił wrażenie

człowieka posiadającego wyższe wykształcenie. W jednej z powieści (*Sre di n a r o d a*) z życia robotników petersburskich, nacechowanej silnie wspomnieniami osobistymi, Złatorwatskij przedstawia siebie jako zecera pozbawionego kawałka chleba, wyrzuczonego na bruk z powodu niewypłacalności wydawcy gazety. Ostatnie zaś jego dzieła są napisane pod bezpośrednim wrażeniem obserwacji życia wiejskiego.

Nietyle talentem pisarskim i nowością tendencji, ile obfitością ciekawych faktów i poruszaniem kwestyj będących na czasie, Złatorwatskij pozyskał swoje imię.

Materiał, zawarty w jego pracach, da się ugrupować w trzy główne działy.

Najpierw, zdaje się, jedynie u Złatorwatskiego znajdziemy obfity zapas faktów zdolnych wyjaśnić ów prąd wśród inteligencji do zbliżenia się z ludem, znany u Rosjan pod nazwą *n a r o d n i c z e s t w a*.

Drugi dział to wyjaśnienie podstawowych zasad psychiki ludowej: lud ma swe moralne i prawne ideały, według których urządza swój byt u siebie na wsi i które stosuje wszędzie, dokąd go los rzuci. Robotnicy fabryczni zachowują, o ile mogą, w zupełnie odmiennych warunkach bytu i pracy, stare formy wzajemnego pożycia.

Nakoniec w ostatnich czasach, Złatorwatskij upatrzył w ludzie jakiś odrębny, rozumowy (*u m s t w i e n n y j*) prąd. Wiadomo, że społeczność rosyjska pasuje się obecnie w bezsilnej walce z drobnymi przedsiębiorcami-wyzyskiwaczami, *k u ł a k a m i*, po-

wstałymi z łona tego samego ludu. Lud sam zapamiętuje się na działalność tych przedsiębiorców jako na ideał, który powinien kierować dążnościami wszystkich. Złatorwatskij natomiast powiada, że istnieje cały prąd w ludzkiej naturze, zupełnie wrogi ideałom wyzysku, że ten prąd w jednostkach utalentowanych, pod wpływem życia miejskiego ukształconych i rozwiniętych, musi przybierać formy samowiedne i z łatwością znajdzie środki zaradcze przeciwko coraz więcej szerzącemu się prądowi wyzysku.

Powieść *Złote serca* cała jest poświęcona przedstawieniu postaci, których jedyną myślą i jedynym pragnieniem jest życzenie stać się użytecznymi dla ludu i złąć się z ludem tak, aby ten nie robił żadnej różnicy pomiędzy nimi a sobą. Postacie z tym zacięciem występują od czasu do czasu i w innych utworach Złatorwatskiego. Wszystkie są wzięte z życia, a na ich przedstawieniu leży wybitna cecha osobistej, nawet dobrej znajomości. Sprawa zlania się z ludem i przyniesienia mu jaknajwiększego pożytku jest dla samego autora kwestją palącą i wcale nie rozstrzygniętą. Każda osobistość bije się jak ryba o lód, by wybrnąć zwycięsko z przeszkód, stawianych przez życie, by pogodzić sprzeczności, ukazujące się przy wprowadzaniu idei w czyn. Wiele jest dróg, każda posiada pozory prawdy, na każdej znajdziemy ludzi, kroczących po niej. Ale która z nich doprowadzi do celu? „Przed obliczem słowianofilów wstało nowe, nieprzewidziane przez nich zjawisko — pojawili się „nowi narodnicy“ (nowe narodnicestwo), potężni energią, miłością, wiedzą, przekonaniem i nieomylną metodą. Nowi ci przyjaciele ludu wy-

stąpili z nielitościwą analizą, bez obawy stracenia wiary w lud, poniżenia go, przystąpili do badania drobiazgowego a sumiennego samej istoty ludu. W imię miłości ludu chorego i zbolełego, chociaż przechowującego w sobie wszystkie żywioły potrzebne do wyzdrowienia, — nie lękali się otworzyć jego wszystkie rany męczące, by prędzej i pewniej uleczyć jego organizm. Zdarli z wyobrażenia o ludzie rupiecie maskarady i fałszywego blasku, pod którym „starzy narodnicy“ starali się przedstawić lud chory, stroskany i cierpiący, jako zdrowego tytana, — a zakrywając bóle go rany, tem samem przyczyniali się do zwiększenia i zaostrzenia jego niemocy“.

Ten literacki kierunek badania i realnego przedstawienia ludu istnieje, jako wykwit drgającego życiem prądu, w celu rozproszenia ciemnoty panującej pomiędzy ludem i niesienia ulgi niedoli ludowej.

Mirtow (*Złote serca*), dziecię ludu (diaczka, — żyjącego życiem zupełnie jednakowem z ludem), po przez tortury seminarские trafił do uniwersytetu, stał się utalentowanym pisarzem ludowym. Jego nalogi, przyzwyczajenia i sympatje, zgoła nie pozwalają mu przystosować się do życia inteligencji. Od czasu do czasu trwoni wszystko, co zdobył pracą i zanurza się w fale życia ludowego, pijanego, gorzkiego. Wie, że tak długo nie pożyje, ale sam powiada że dla niego i mu podobnych jedno jest tylko schronienie — klinika uniwersytecka, gdzie rzeczywiście ostatecznie umiera.

Morozow (*Złote serca*), syn chłopca-rządcy, dzięki pomocy swego dziedzica otrzymuje wykształcenie gimnazjalne, rzuca się na studia uniwersyteckie,

kończy jeden zakład, idzie do drugiego, gorączkowo zdobywa wiadomości techniczne. Przybywa do miejsc rodzimych, a zyskawszy miłość córki dziedzica, ucieka z nią do Petersburga, tam znów kłopoty biedę, nakoniec po śmierci rodziców swojej żony przyjeżdża z nią do majątku, urządza go jaknajwzorowiej i cały oddaje się na usługi chłopom, którzy pamiętając jego pochodzenie i płacąc mu miłością za miłość, obchodzą się z nim za pan brat. Jednakże nie może zadowolić się, uspokoić. Widzi, że jego pomoc nie wiele na co zdała się, że przyczyny wywołujące nędzę ludu są szersze i głębsze niż to, że lud nie umie prowadzić postępowego gospodarstwa. Tęsknota go trawi pomału, aż nakoniec, gdy zawrzała walka na półwyspie Bałkańskim, rzuca się tam, by choć w taki sposób zgasić w sobie pragnienie czynu szlachetnego, by uciec od bezcelowego przelewania wody z jednego naczynia w drugie.

Baszkirow (Złote serca), osobistość namalowana przez Złatorwatskiego z szczególniejszą sympatją, jest owocem romantycznej miłości córki obywatelskiej z przywódcą bandy rozbójników baszkirskich. Kochanek naturalnie rzucił panienkę, a tej trzeba było wyjść za mąż. Mąż się znalazł, ale pierwotne dziecię źle na tem wyszło. Rzucono je pod obcym nazwiskiem do seminarjum, gdzie się kształcą synowie ubogiego duchowieństwa i gdzie przebyło ono istne piekło. Później, zawdzięczając jedynie swej samopomocy i zadziwiającym zdolnościom, Baszkirow dostał się do uniwersytetu na wydział lekarski. Żył i obcował zawsze z ludem, rzemieślni-

kami, z drobnej felczerskiej praktyki pomiędzy nimi nawet się utrzymywał. Gdy go pytano, co trzeba robić, by się zbliżyć z ludem, odpowiedział: trzeba być nieszczęśliwym. Po skończeniu studjów, zamieszkał na wsi i żył tylko z chłopami, ich leczył i im pomagał gdzie i czem tylko mógł.

Iwan Jakimycz (z pośród ludu) był chłopem poddanym, wychowanym na koszt pana. Pan później urządził szkołę dla dzieci w fabryce zapalek i kazał tam Iwanowi uczyć chłopców, Iwan uciekł z fabryki. Później ukazuje się w Petersburgu jako nauczyciel ludowy, schorzały, ale miłujący lud, męczony zagadnieniami jak ma służyć. Malcom wpaja przedewszystkiem pojęcie o poczuciu godności osobistej i o tem jak jej bronić. „Nigdy nikomu w niczem nie należy ustępować, jeżeli ten ktoś nie ma za sobą w twoich oczach słuszności“.

„Przywódca złotej hordy“ (Pośród ludu) jest dzieckiem niższego duchownego. W seminarjum odznaczał się pilnością i zdolnością. Karjerę duchowną (i jedyną) zepsuła mu miłostka pokątna. Z początku służył jako podrzędny urzędnik. Za jakieś korespondencje do gazet wydano go ze służby, został więc robotnikiem, przywódcą spółki (artieli) „złota horda“ i generalnym doradcą prawnym biednej ludności miasteczka. Wielu z kolegów tego „przywódcy hordy“ wyszło „na ludzi“, t. j. jeden został urzędnikiem, drugi sędzią i t. d. Sędzia-kolega zasadził go nawet do kozy za niepokoje, gdyż per-jodycznie swoją złość i żółć wyrażał w tem, że wstrząsał powietrze cichych ulic cichego miasteczka grzmiącemi filipikami społecznemi.

A oto obrazek z natury, nawet nieoprawiony w powieściowe ramki: „Trafiliśmy do chorej wsi... prze-mogłem mimowolne uczucie wstrętu i strachu i wszedłem. Na ławkach, na ziemi, na piecu leżeli dorośli i mali, pokryci kożuchami i łachmanami. Ci-sza grobowa panowała w chacie, tylko nieprzerwane huczenie całej chmary much wisiało w powietrzu. Cza-sami wyrywało się westchnienie. Dwie czy trzy pary błędnych oczu zwróciło się ku mnie z tęsknotą, jakby w malignie... Zdawało się, iż chcieli coś przy-pomnieć. Napróžno!.. Z wyjątkiem dwóch, trzech nieszczęsnych, nikt się nawet nie poruszył: czy usnęli na chwilę, czy też na wieki? Znalazła się jedna na całą wioskę staruszka zdrowa, która wszystkich doglądała“. — „Już leżymy cały tydzień, a wciąż nie lepiej“... — „Ale co stało się z wami“... — „Nic, to powietrze“... „Co za przyczyna“?... „Od gorą-ca“... „Czem że się leczycie?“ — „Wyleżymy się“... — „A gdzie wasz kowal?“ „Chory, dajcie pokój na-szemu kowalowi“... Ten kowal jest jednym z tych, co poszli pomiędzy lud, pragnieniem służenia mu gnani. Odnaleziono chatę kowala... zawołano go po imieniu. „Wtedy chory podniósł głowę w spletanych włosach i ze zmiętą brodą, wielkie oczy patrzyły cierpiącym, apatycznym wzrokiem... Niewiele go zna-łem: przed pięciu laty, kiedy wybierałem się na letnie zajęcia miernicze, przyszedł do mnie młody człowiek i patrząc przenikliwie wielkimi, nie-bieskimi oczami, prosił abym go wziął ze sobą na czas niejaki, w charakterze pomocnika, na co się zgodziłem“.

Serapion Skory — tak się nazywał — był synem

najdrobniejszego urzędnika w konsystorzu. Doszedłszy do wyższej klasy seminarjum, został wygnany za brak pilności i otrzymał zajęcie w maleńkim klasztorze, lecz stamtąd niedługo uciekł do wuja ponomara (ponomar dzwoni i czyta psalterz) we wsi, u którego zajął miejsce sługi: orał, kosił, dzwonił, rąbał. Wuj zamierzał go ożenić: wtedy Serapion uciekł od niego do klasztoru, pchany namiętnością do kaligrafji. Chciał nawet przywdziać kaptur. Lecz w początkach okresu uwłaszczenia ukazał się popyt na geometrów i przy gimnazjach gubernjalnych otwarto dostępne dla wszystkich kursy miernicze. Wstąpił tam Skory... Był to uosobiony typ synów drobnego urzędnika: wrażliwość na wszelkie prądy, nieopatrna ufność i wieczna misja pocztyljona najwierniej cechowały jeszcze niedawnymi czasy tę klasę... Przypadkowo autor spotkał go później i ledwie poznał. Przy tem spotkaniu Skory powiada: „Poświęciłem siebie na płodzenie dzieci... Aby już raz tej włóczędze cygańskiej był kres. Mam tu niedaleko folwark, około 30 dziesięcin, jeżeli liczyć piaski. Wziąłem w posagu. Siostra wyswatana, ot tu, za mężem za Andrzejem (chłop, w którego domu toczy się rozmowa)... Już pięć lat, jak wyszła zamąż... Czego dopiąłem przez dwadzieścia lat włóczęgi? Jeden brat zginął, drugi stał się złodziejem, trzeciego ledwem uratował, dwie siostry umarły na suchoty, ślęcząc nad przepisywaniem i szyciem, trzecia... zgubiona... I czyż u nas wszystkich nie to samo się powtarza? Tak, trzeba nam koniecznie zdobyć własny kąt i niezależne, choć jakiebądź stanowisko. A co

do tego, wiesz przecież, że chłop lepiej rozumie nawet pana, niż nas, chcących mu służyć“.

W Rosji oddziaływanie inteligencji i ludu wzajemne jest wielkie. Literatura rosyjska posiada mnóstwo dzieł, świadczących nie tylko o dobrych względem ludu chęciach, lecz i o gruntownej, szczegółowej znajomości przez piszących całego życia ludu. Wytłómaczyć tego zjawiska tylko wyłącznie prądem wśród inteligencji do zbliżenia się z ludem nie można, jest on zupełnie identyczny z podobnymi prądami w literaturach Zachodu i nawet stamtąd zapożyczony. Jednakże literatury na Zachodzie nie posiadają takich gruntownych studjów życia ludowego. Bezwarunkowo, po części i ten prąd obcy wywarł swój wpływ, ale sam nigdy nie zrobiłby tego, czego w tym względzie dokonano. Zdaje mi się, że z faktów, które wybrałem z powieści Złatorwatskiego, widocznem jest, iż w Rosji istnieje cała klasa ludzi, jak drobni urzędnicy, duchowieństwo, którzy skutkiem racjonalnego postawienia względem nich oświaty, t. j. że oświatę mógł nabyć prawie każdy, kto chciał, w ciągu jednej połowy życia czyli w dzieciństwie żyli w nędzy i biedzie, ale później, dzięki zdolnościom, wybijali się na wierzch. Wiele zginęło sił marnie i niepostrzeżenie. Ci, którzy się wybili, zupełnie się przystosowali do nowego swego stanowiska. Nie było prądu, któryby im podsunał myśl o nienormalności istniejących stosunków. Po uwłaszczeniu, do szeregów dzieci duchowieństwa i drobnych urzędników przybyło wielu wprost z ludu, przeważnie synów oficjalistów i kułaków. Wszczął się ruch wśród inteligencji, który oddzia-

ływał na te postacie, wyszłe z ludu, albo z warstw bliskich ludowi. Wielu z tych, co się byli wybili, prąd ów zwrócił na właściwą drogę, wielu ginących uratował, a nawet z pośród tych co zginęli w dążeniu do wybicia się z nędznego stanowiska, odziedziczonego po ojcach, pewna część zabarwioną została nowopowstałą tendencją. W innych krajach, gdzie wyższe wykształcenie jest przywilejem zamożności, gdzie nie zważając na prawne zniesienie stanów, istnieje fatalny faktyczny rozdział pomiędzy klasami, tam inteligencja, nie zważając na swoje najlepsze chęci służenia ludowi, nie zdołała się zdobyć nawet na odtworzenie w swojej literaturze z całą dokładnością życia i niedoli ludu.

* * *

Wyróżniające cechy gospodarstwa spółnoty rosyjskiej, przedstawił Złatowratskij, w szeregu szkiców z natury, pod tytułem Dnie powszednie na wsi (Dierewienskije budni). Lecz życie gromady wiejskiej nie ogranicza się tylko do trosk o gospodarstwo; rodzina, religja, sądy, nakoniec rozmaite prądy myśli, wkraczające na wieś z miast po przez robotników i żołnierzy i t. d., tworzą drugą niemniej niż gospodarstwo ważną połowę życia na wsi. Drugi szereg szkiców z natury: Oczerki dierewienskogo nastrojienia (Nastroje wioskowe) poświęcony jest tej stronie życia. Z surowego faktycznego materiału tych dzieł Złatowratskij korzysta pisząc powieść Ustoi.

Ideał spółnoty, jaki się przed ludem unosi, autor określa słowami starego chłopca, opowiadającego

dzieje wsi swojej: „Zdradzili Walkowszczyznę naszą ludzie-handlarze, którzy pierwsi zwątpili o prawości spółnoty. Zdrajcą i chciwym Judaszem względem ludu jest ten, kto pierwszy podał skargę na spółnotę, i wahającym się z udaniem do władzy inną drogę wskazał! Niech będą przekłęci na wieki! Z tej przyczyny wszystko idzie gorzej! zamęt pomiędzy ludem, smutek i praca poddańcza. Wyższej nad spółnotę niema władzy! Spółnota to wszystkiego początek i koniec; spółnota sama w sobie jest prawdą, ona się troszczy o wszystkich, złego zrobić nie może, jest siłą, daje wszystkim obronę i pomoc.. czem jesteśmy bez spółnoty? — Ludźmi leśnymi, podobnymi do zwierząt!. Gromadzczy razem z człowiekiem dzielą smutek i radość! Niema już takiej spółnoty! Bo cóż to za spółnota, kiedy ani zaufania, ani poważania dla niej niema, a strach znikł, kiedy każdy idzie ze skargą na spółnotę do władzy postronnej: kiedy się można sądzić o pieniądzu innych i nieprawdę poczytywać za prawo“. Gromada Walkowszczyzna leżała „za lasami“. Państwo o niej nie wiedziało. Młodzi synowie jednego chłopa uciekają do miasta wbrew woli ojca, gromada powróconych karze i na żądanie ojca żeni. Ci znów uciekają, a po niejakiem czasie z bogaciwszy się handlem, drogą sądową sprowadzili swoje żony do siebie. Dopiero wtedy władza odkryła wieś w „zalesiu“: skończyły się błogie czasy Walkowszczyzny! Nie mówimy już o podatkach i o podporządkowaniu jej administracji, ale oddano ją na własność jakiemuś bogatemu urzędnikowi. Gmina rosyjska wyrosła jako organizm zupełnie samodzielny, o siebie tylko

dbający i jedynie siebie znający. Podporządkowany, chwycony w kleszcze ogólnego mechanizmu państwowego, przechowuje jednak stare formy, które można zrozumieć dopiero wzięwszy pod uwagę przeszłość gminy?*)

Taka gmina opiera się przede wszystkim na rodzinie patryjarchalnej. Gdy niezależne gminy dostały się pod władzę patrymonjalną właścicieli ziemskich, to naturalnie, że zasada rodziny patryjarchalnej doznała wzmocnienia. Gminy stały się nawskroś poddańczymi organizmami. Ojcowie służą właścicielom ziemskim, a sami rządzą w swoich rodzinach. „Hasło wolności osobistej, ogłoszone przez reformę włościańską, jest potężnym czynnikiem, który stał się podniętą do zmiany nastroju myśli ludowej. Na miejsce niewoli pańskiej, powstała natychmiast państwowa, w postaci przypisania do miejsca pobytu, do ziemi, do podatków. Wolność osobista nie mogła nie okazać się fikcją... W samowiedzy ludu, w stosunkach członków wspólnoty pomiędzy sobą, wolność osobista nie była tylko fikcją: przeciwnie jednostka zaprawdę uwolniła się z pod ucisku ustroju patryjarchalnego“. Obecnie na zebraniach gminnych, i w sprawach rodzinnych największą rolę grają dorośli mężczyźni w sile wieku, starzy i małoletni nic nie znaczą. Nie tak było dawniej!

Schemat wspólnoty, jaką była pierwotnie, i nawet teraz w miejscowościach, które mało doznały wpływu okoliczności zewnętrznych, jest następujący: wspólnota jest to wieś, złożona z rodów patryjarchalnych.

*) Obecnie jeszcze w puszczech wschodniej Rosji i Sybiru istnieją takie gminy.

Ziemia jest wspólną jej własnością. W niektórych miejscowościach nawet co rok ziemię dzielią, ale zwyczaj ten jest rzadki i coraz bardziej upada. Łąki prawie wszędzie dzielią corocznie. Pierwotnie żadnych miedz i podziału ani ziemi, ani łąk nie było, tylko przy zbieraniu plonów dzielono je w następujący sposób: ponieważ wieś składa się z rodów, do których należy zwykle kilka gospodarstw, ten przeto naturalny podział stanowił dogodną podstawę podziału pracy jak i plodów. Przy sprzątaniu zbóż i sianozęciu dzieli się pole tylko pomiędzy rodami. Te rody zbierają każdy wspólnie, a później dzielią produkty zupełnie gotowe pomiędzy oddzielne gospodarstwa. Że spółnota posiada wszystkie warunki do rozwoju wewnętrznego, świadczy o tem naturalne przekształcenie rodów w stowarzyszenie wolne, w y t. Mianowicie, przed nastaniem pory robót w polu, corocznie, w gminie odbywa się dobieranie w w y t i, t. j., wieś dzieli się na małe grupy ludzi wzajemnie sobie ufające, przyjaciół, krewnych i t. d. zupełnie tak samo, jak kiedyś dzieliła się niedobrowolnie na rody. Złatorwatskij opowiada charakterystyczny fakt, że w jednej wsi młodzi gospodarze rzucili swoje stare w y t i i zawiązali się w nową młodą w y t, bo im weselej i zgodniej było mieć do czynienia nie ze starymi, ale pomiędzy sobą. Sieroty do [pełnoletności biorą oddzielni gospodarze, wdowy mają prawo do pomocy, t. j. ponieważ nie mogą same od siebie zdobyć się na tyle roboczej siły, by wytworzyć produkta potrzebne w gospodarstwie — istnieją dnie powszednie, kiedy gmina swym członkom zabrania pracować, albo święta, w które cała wieś

pracuje dla tych, co otrzymują pomoc. Ale taki ustrój bez żadnych domieszek był właściwy tylko zupełnie niezależnej spółnocie, „Walkowszczyźnie“, dopóki nie dokonano pogromu. Pod wpływem różnych okoliczności, mogą we wsi pozostawać zaledwie pozory spółnoty. Wyt może być nie stowarzyszeniem wolnem, ale grupą osób zależnych od kułaka i dla niego tylko pracujących. Z pomocy może korzystać obszerne gospodarstwo kułak, albo nawet i obywatel ziemski, a więc od najmu prostego pomoc będzie się odróżniała tylko jeszcze większym stopniem wyzysku. „Czy teraz istnieje spółnota jednolita? Teraz w spółnocie mamy dwie, albo trzy spółnoty! Swoi trzymają się swoich bogaty bogatego, średnio zamożny zamożnego, a pijak pomaga pijakowi ciągnąć mienie do karczmy“.

„Spółnota już przeżyła swój czas z upadkiem rodziny patryarchalnej, znajduje się teraz w okresie krańcowego różnicowania się żywiółów ją składających a w początkowej — dobierania się jednakowych żywiółów i wyodrębniania się ich w grupy samo, dzielne“.

Najpierw idą bogacze, posiadający obrotowy kapitał. Zebrali te kapitały drogą osobistej przedsiębiorczości, poza obrębem spółnoty (kułacy, przemysłowcy, dostawcy, gospodarze posiadający ziemię na własność, także osoby mieszkające we wsi). Autor przyjechał ze wsi, w której żył głośny w okolicy chłop-kułak. „No, idźcie, powiada furman, zobaczcie chłopów szczęśliwych. Może i ja tam zajdę na górę, w drzwiach postoję, i posłucham — powiedzcie, że to wasz furman, może dadzą kieli-

szek“. Ten sam furman tak mówi: „jednym słowem to patriarcha! 40 osób w domu! Rzetelny chłop! Synowie jego dostawcami są, mieszkają w miastach.. A sam ziemi się trzyma... Był wójtem, ale się zrzekł, teraz jest sędzią.. Czterdzieści osób, jak jeden człowiek!... To wszystko nasz ludek, goły, czarnoroboczy“. Autor zapytuje samego patriarchę: „Czy wiele u was jest tu ludu bez żadnych zajęć?“ — „Nie, u nas mało, bośmy surowi.. My chleb dajem: chcesz ziemię uprawiać, uprawiaj, a nie chcesz — idź do nas na robotnika: u nas, dostawców, jest robotników dziesiątek jeden i drugi. A kto nie zechciał ani jednego ani drugiego, — sam winien.. Wykluczamy z gminy“.. Mając na uwadze tego patriarchę, chłop z dumą powiada: „Kto tu jest rozumny? — chłop; kto bogaty? — chłop; kto silny? — chłop; kto naokoło ziemię poskupywał? — chłop“. Kim jest ten wszechmogący wyzyskiwacz? chłopem, byłym rządcą, pańskim niewolnikiem. Ci wyzyskiwacze są siłą bezwiedną, która wymierza zemstę panom za włościan. Z pośród włościan wyłonili się, napadając na panów; teraz już nad nami górują. Ale pokonawszy panów, biorą się do chłopów“. „Lud jeszcze żyje pod bardzo silnym wpływem zmiany, dokonanej przez tych wyzyskiwaczy, aby widzieć w nich swoich wrogów i by samowiednie występować przeciwko nim podobnie, jak przeciwko panom. Ale poczynający się w spólnocie proces wyodrębnienia się rozmaitych grup dowodzi, że bezwiedny proces już się rozpoczął. Niema faktów dostatecznych do odpowiedzi na pytanie: czy spólnota zwycięży indywidualizm, czy też przeciwnie. Niewątpliwą rzeczą jest tylko to, że

lud pochowa dzisiejszą spólnotę nieskończonych ciężarów i kompromisów“. Oto są zdania gdzieś nigdzie wyrwijające się o bogaczach k u ł a k a c h: „Panowie swawolili wiele, a tu sprawa jest jeszcze poważniejsza... K u ł a c y wyzyskiwacze zginą... dla tego, że są nienasyчени! Pan jeszcze mógł się nasycić, mógł mieć dosyć, a u tego sama chciwość, głód cielesny i duchowy... Im więcej je, tem więcej brzuch jego prosi“.

Po wyzyskiwaczach, wylaniających się z pośród samego ludu, idzie druga kategoria, nierównie liczniejsza, a będąca podstawą dzisiejszej spólnoty — średnio zamożni gospodarze. Ci najbardziej trzymają się spólnoty, są właśnie żywiołem, który powstrzymuje zupełny jej rozkład. Średnio zamożni włościanie są przedewszystkiem ludźmi spólnoty, oni dążą do zabrania w swe ręce największej liczby nadziałów i dzierzawnych gruntów gminnych, i jeżeli okoliczności choć cokolwiek temu sprzyjają jednoczą się w wiejskie gospodarcze spółki. Chłopka, nie należąca do tej kategorii, tak o tem rozumuje: „Sami nie bylibyśmy gorsi, od Pimanów (średnio zamożna rodzina w powieści). W tem właśnie tkwi szczęście Pimanów, że nasi mężowie i dzieci Bóg wie dokąd idą szukać roboty.. Na naszej ziemi wzbogacają się oni, naszą ziemię zabrali, ale to tylko do czasu... szczęście włościanina jest jak ta woda: w jedną noc zniknie — nawet nie spostrzeżesz“! Bieda zmusza do szukania czegoś lepszego. Powstaje szeroki ruch emigracyjny. Włościanie nawet rozmaitych wsi łączą się w towarzystwa, dążące na świeże miejsca, gdzie rzeki miodem płyną. Emigra-

cyjny ruch chociaż nie posiada statystyki, ale jest zjawiskiem stałym i szeroko rozpowszechnionym.

Najciekawszą grupą ludności wiejskiej jest proletarijat, niemający ani domu, ani wołu, robotnicy najemni na własnych nadziałach. Do nich zaliczyć można włóczęgów, co uciekają, porzucając własne nadziały. „Ciągły wzrost tej protestującej i złowrogiej siły nie ulega żadnej wątpliwości“. Muszą po temu istnieć poważne przyczyny. „Oto już jesień nastąpiła, swaty chodzić zaczęli. Troskliwiej zaczął zabiegać do chat wójt i pilniej zaglądać za hołyszami, by nie zdążyli broń Boże! na piwo wydać całą zaległość podatku, — lata po ulicy, po karczmach, z ręcznie wypytuje, kto ile przyniósł zarobku, kto ile zboża sprzedał; ile przepił i przejadł“... Hołysze odpowiadają na takie wójtów zabiegi „nic nie mamy; mamy swoje prawa: hulamy, gdzie chcemy! Łam sobie głowę nad podatkami jak chcesz! z nami nic nie zrobisz!“ „Pracująca wieś płaci tym hulaj-duszom pięknem za nadobne, pogardza niemi przez zawiść, przez złość, iż ci marni ludzie włóczą się po całej Rosji, nic a nic nie robią, pija, rozbijają się po karczmach, wygadują głupstwa, a ty pocisz się, męczysz, wolnej chwili nie masz, a jeszcze ci każdy pisarz, wójt, stanowy, urjadnik w brodę pluje i w twarz wali... A im szelmom nic...! Biją ich, ale im ciągi, jak groch na ścianę“! Do proletarijatu wiejskiego bezdomnego należą pastusi. Oto obrazek z natury: „Piotr urodził się we wsi Rianzańskiej guberni, która oddawna wszystkie siły zbyteczne wysyła na pastuchów. (Autor opisuje Piotra we Włodzimierskiej gubernji), Piotr nie nauczył się ani orać, ani kosić, wogóle nie

umie nic z tego, co włościanin przy uprawie roli koniecznie wiedzieć musi. Do lat dziesięciu uczył się w szkółce u popa. Na starość pastusi wychodzą na wiejskich poetów i uczonych: konowałów, znachorów, czarodziejów, guślarzy. Ten to Piotr własnym umysłem doszedł do tego, że u człowieka para tak samo jak u zwierząt jest istotą życia, że zagrobowego życia niema; że chłop swoją pracą zwierzęcą zabija w sobie obraz ludzki: jeżeli trzeba ziemię ciągnąć, cegły nosić, nawóz wozić... to czy do tego człowiek jest konieczny? Postaw tam zwierzę, a ono ci wszystko tak samo, jeszcze lepiej zrobi". Powiastka Kaban doskonale odtwarza stanowisko proletariatu bez roli i domu i uprzytamnia wzajemne antagonizmy wśród ludności wiejskiej. Energiczna Stiepacha sama prowadzi gospodarstwo, sama uprawia ziemię. Po reformie włościańskiej ciężary i opłaty zwiększyły się — sama jedna już nie może sobie poradzić, bierze najmitem. Praca najmity jest nieszczera, niespora. By mu nie płacić, i zmusić go do pracy pilniejszej, Stiepacha wychodzi zamaż za niego chcąc tem poprawić swoje gospodarstwo. Lecz skoro ten poczuł się gospodarzem, legł na piec i zaczął zanosić wszystko cokolwiek ściągnał do karczmy. Zrozpaczona kobieta skarży się gminie. Gromadzki sąd, do którego składu należy kula k Kaban, postanawia wyrzucić go z gminy. (W Cesarstwie gmina ma prawo wydalać złych swoich członków, którym w takim razie grozi wysłanie na osiedlenie). Nicpoń przed chwilą wrzeszczał do żony: „Dosyć! Czas, bym odetchnął! muszę pracować na siebie". A stanąwszy przed sądem, tak się uniewinnia: „Ciagle, od samego maleństwa

byłem najmitą... Patrzcie, ręce moje jak postronki. Nigdy nie miałem przystanku! Trzydzieści lat... na cudzym chlebie. Słowem kąta nie miałem, na piecu nigdy się nie grzał... A nogi... pół Rosji zmierzyłem nimi (najmita był rodem z Białej Rusi). A żołądek mój, patrzcie, jest jak miech pusty“ — Kułak Kaban taką mu daje admonicję: „Wzięłeś gospodynię, powinieneś był ziemię orać, dzieci hodo- wać, krwawo jak Stiepacha pracować“. Odpowiedź najmity przeraża Kabana: „Choć na godzinę pozwól mi na twojem piecu poleżeć, brzuch choć raz roz- grzać, choć na chwilę wpuść do swojej izby“. Pa- trzał przytem tajemniczo uśmiechnięty. „Pójdź, spró- buj!“ wrzasnął Kaban tak, że aż szyby zadzwoniły. Coraz więcej ukazuje się na wsi takich najmitów, dzikich zwierząt, a kiedy ich będą miliony, to może powiedzą do Kabanów (tak samo zwierząt): „puście nas na swoje miejsce“. Najmita zuchwale przyjął wyrok, wykluczający go z gminy: „Co? piszesz wy- rok?... zdążysz! Wolniej, by nie trzeba było przepi- sywać potem. Ech, co? Wódki nie chcecie?.. Sądziś, że nie mam za co? Bierz siermięgę, nieś do karcz- my!“.. Wrzeszcząc, zdjął siermięgę i rzucił na stół. „Bierzcie, pijcie, judasze, zdrajcy! Chybaż was nie znam? Mało wam — duszę moją sprzedajcie, juda- sze! Duszę! Macie!“.. Porwał koszulę, zaśmiał się i ca- łem jestestwem swoim zaszłochał.

Wyodrębnianie się, różnicowanie ludności wiej- skiej zwiększa się jeszcze pod wpływem prądów religijno-mistycznych, sekciarskich.

Sekciarstwo jest wynikiem ocknięcia się wśród ludu ducha krytycznego, racjonalizmu, dążności do

zwalenia starych, niewolniczych form spółnoty i znalezienia swobodniejszej. Osobliwie rozpowszechniło się tam, gdzie jak sądzono, tradycje spółnoty zupełnie wygasły (w Małorosji). Trzeba jednakże pamiętać, ile nietolerancji krzewią prądy mające być w tym względzie zaporą! Sekciarz do niesekciarzy w ten sposób się odzywa: Od was, rozbójników, pijaków i bluźnierców Bóg w sprawiedliwym gniewie swoim dawno się już odwrócił i boleje, że imię Jego wymawiacie ustami swemi bluźnierczemi! (U s t o i).

Spółnota rosyjska jest organizmem zupełnie samodzielnie powstałym. Państwo dopiero później ją sobie podporządkowało. Zasadą urządzeń i życia jednej jest solidarność, zasadą ustroju państwowego ogólnoeuropejską — indywidualizm. Następuje kolizja prawa państwowego a gminnego, która się wyraża w tem, że lud rozróżnia dwie prawdy: prawdę spółnoty (m i r s k a j a) i prawdę prawną (p o z a k o n u). Chłop nie chce być sędzią. „Nie mogę według prawd sądzić; staną przed człowiekiem albo dwie prawdy, albo dwie nieprawdy, jak ich rozsądzić? Tyś się zakłopotał, a zły człowiek rad z tego: jaka wazsza prawda, waszej prawdy niema, czyń wedle prawa, a nie według prawdy. Ej, pisarzu, czy jest prawo, bym prawego gnębił... Jest... Otóż wy, dziady, z niczem się ostawajcie. Życie teraz jest inne, innej prawdy trzeba“... (U s t o i).

A to fakta z natury.

W gminie Nagornej było osiem gromad. Po uwłaszczeniu odbyło się rozgraniczenie gruntów na zasadzie istniejących stosunków. Przez opieszałość w dokumentach (g r a m o t a c h) nadział gromady

mającej 30 dusz wyznaczono dla gromady mającej 60 dusz i naodwrot. Jeden z młodych, piśmienny, sprytny chłop dostrzegł to później i wniósł sprawę na zebraniu gminnem. Tu prym trzymali patrijarchowie, z oburzeniem więc odrzucono projekt procesu tak nieczystego. Ale inicjator miał za sobą całą młodzież i pokusę zysku, przytem podjął się bezinteresownie na swoje ryzyko prowadzić sprawę w sądzie. Na wiosnę mniejsza gromada wyszła kosić na gruntach większej. Naturalnie, zegnano ich. Wtenczas chłop stylizuje skargę „że włościanie Sosenkowscy bezprawnie z narzędziami w ręku, jako to kosami i grabiami, przemocą spędzili włościan Borkowskich z ich własnej, wedle prawa gosudarskiego przyznanej im ziemi“. Proces przewlekał się długo. Póki sprawa była w niższych sądach, stronnictwo starych stanowczo było jej przeciwne i nawet kilka razy przemagało na zebraniach, godząc się z przeciwną gromadą. Ale energiczny inicjator przenosił sprawę wyżej i wyżej i ostatecznie ta przybrała charakter stanowczo korzystny dla mniejszej gromady. Wtenczas dopiero złączyli się i starzy i młodzi, dożywając ostatniego grosza dla prędszego zakończenia sprawy. Starzy wołali: „niesprawiedliwie, ale wedle prawa! czas teraz taki, niema [prawdy, wszyscy żyjemy bez prawdy.. Poczóż mamy się zrzekać, kiedy teraz wszędzie panuje prawo! A kiedy przyjdzie prawda, zniosą miedzę, słupy wyrzuca, wtenczas i my oddamy wszystko“.

Drugi fakt również z natury. Oto mąż umierając, powiedział żonie, że sprzedał Sawwie drew za 10 rs., więc niech pójdzie wziąć je na pogrzeb. Saw-

wa pieniądze oddał, obiecując po drwa przyjechać później. Po upływie pół roku chłopci powiadają do kobiety: „co śpisz, Sawwa twój las wycina w najlepsze... już najgrubsze drzewa wywiózł“. Sprawa doszła do sądu. Sawwa pokazał kwit pozwalający mu w ciągu 15 lat wycinać las, każdego roku na 300 rubli. Sąd gminny przyznał Sawwie słuszość. Autor wyraził swoje zdziwienie z tego powodu przed sędziami: „Nie mamy prawdy, panie i nie możemy bronić, bo żyjemy nie wedle wymagań spółnoty, a wedle prawa. Wszędzie u nas teraz niesprawiedliwość. Ja jestem sam jeden, a mam ziemi trzy nadziały. Mój sąsiad ma pięć dusz, a siedzi tylko na jednym nadziale. Nie wedle prawdy, ale wedle prawa jesteśmy właścicielami. Niech ogłoszą prawdę przymusową, wspólną dla wszystkich, wtenczas co innego“...

Jakżeż to życie i szczęście ludu jest efemeryczne, nietrwałe!

Włościanin sam powiada: „Chłopską spółnotą wiatr ciągle przewiewa: iskra upadła, w oka mgnieniu wszystko ginie“!

Jest chłopska powiastka, ilustrująca to życie: dwóch włościan w drodze rzuciło losy o dwie rękawice, później wypili, później kłócili się kto jaki miał los. „Moja była dyska“. — Nie, moja dyska, twoja trójka“! Od trojaków do dzieciaków, od dzieciaków do matek we wsi już doszli do całej rodziny. Posłyszały rodziny i nuż kłócić się pomiędzy sobą, od kłótni do kudłów, od kudłów do kołów. Cała się wieś zbiegła. Jedzie naczelnik: Co takiego? Gromada wasza miłość, parę rękawic dzieli! „Dziesiątego do więzienia wpakować“!

Wieczorem w święto cała wieś wylega na ulicę. Oddzielnie przy wrotach stali młodzieniec z dziewczyną, z błyszczącymi oczami, przycisnąwszy się do siebie. Tak stają owce, albo konie dotykając się bokami i głowami. Na zakochaną parę nikt nie zwracał uwagi, był to zwykły sposób wyrażania się pragnienia miłości, która ogarnia młodzież przy wzajemnym ciągłym obcowaniu. Dziewiczość jest tu nie naruszalna, zresztą wczesne śluby dają ujście obudzonym pragnieniom. Lecz położenie tej pary było wyjątkowe, bo młodzieniec był synem surowego sekciarza. Ojciec młodzieńca wyszedł z hołoblem odpędzić młodzieńca od chaty. Młodzież, co na lato pozjeżdżała się z fabryk do domu na roboty, ujęła się za młodzieńcem, zaczęła wymyślać starcowi. Wynikła z tego bójka pomiędzy sekciarzami a prawosławnymi w całej wsi. W tym samym czasie młody chłop żonaty, należący do wielkiej rodziny, przypomniał sobie krzywdy. Był uważany za głupiego i zajmował w rodzinie podrzędne stanowisko. Podjudzany przez przyjaciela, z wrzaskiem domaga się wydziału swojej części. Kłótnia z początku toczy się tylko pomiędzy rodziną pokrzywdzonego z jednej a nim i jego przyjacielem z drugiej strony. Zamożna rodzina nie miała miru między hołyszami. Powstają utyskiwania na kułaków i bogaczy. Wioska dzieli się jeszcze na dwa obozy kłójące się pomiędzy sobą, bo już ci wszyscy zamożni wystąpili przeciwko napastnikom (Ustoi).

Takie życie nędzne i niepewne, gdzie każdy wiatru powiew niszczy najkrwawsze zabiegi, przyczynia się do tego, że z wspólnoty ucieka każdy energiczniejszy

i rozumniejszy. Jedni sobie w ten sposób radzą, że zapomocą niewielkich kapitałów, przez lichwę, karczmy i skup za bezcen mienia włościańskiego wyzyskują swych braci. Nędza powszechna sprzyja im. To są wyzyskiwacze, kulaki. Ale Złatorwatskij wykazuje, że nie każdy, który się wyrwał z duszącej atmosfery wsi, staje się wyzyskiwaczem swoich braci. Jego Ustoi to opowieść z życia „nowego człowieka na wsi“. Co wygania tych ludzi ze wsi, jak się ustosunkowują do wsi a wieś do nich? Jermił jest chłopem dzielnym, rodzina jego pracowita. Był poważany, nie pił, nie klócił się, w bójkę się nie wdawał, na zebrania gminne, bojąc się pokusy, nie chodził. Smieli, się chłopci z jego stoicyzmu. Razu jednego wyszperali stóg siana na oddalonych nieużytkach dziedzica, uszczknęli go nieco, uszło im. Później pojechali umyślnie, zaprosiwszy przyjaciół — i znowu im uszło. Zaczęto gadać o tem na wsi. Przestrzegali jedni drugich, by zaprzestać rabunku, a ostatecznie postanowili całą gromadą jeździć po kolei i co się da porwać siana. Zapraszano, nalegano na Jermiła, ale ten się nie zgodził. Pojechała gromada raz, drugi, pozostała tylko połowa stogu... Niech i panu cokolwiek się zostanie! A tu tymczasem się Jermił zupełnie zmienił. Jak gromada idzie do lasu, to się i jemu zachciewa. Ale wstyd go bierze przed gromadą pokazać słabość swego charakteru. Dowiedział się, że gromada więcej po sianu nie jeździ i w pierwszą noc tak, aby nikt z gromady nie słyszał, wybrał się pod stóg. Akurat go złapano. Zapłacił stróżom, ale ci pieniądze wzięli, a dziedzicowi swoją drogą donieśli. Całe gospodarstwo roztrwonil, by ukryć tę

sprawę. Trzy lata nie pokazywał się na zebraniach. Już zaczęło poprawiać się gospodarstwo. Aż tu akurat wieś się zbuntowała, co dziesiątego bili i nieszczęśliwym trafem los wypadł na Jermiła. Chciał się wykupić, stracił pieniądze i — obitym został. Wtedy się na belkach powiesił... Na szczęście synowie spostrzegli. Gmina podporządkowuje pod siebie wszystkich w skład niej wchodzących, indywidualizmu nie znosi. Wszyscy za jednego i jeden za wszystkich, kto się tego nie trzyma, ten ginie marnie! Chłop był młynarzem. Filozofując i rozmyślając o przyczynie złego, doszedł do przekonania, że wszystkiemu winna wódka. Ten występny kto pije i ten kto daje. Dalej, żeby być sprawiedliwym, trzeba nie pobłażać słabym i głupim, a silnym i rozumnym nie dawać się w łapy. Idąc za tą zasadą, nie dał wódki księżom, gdy ci przyszli do niego podczas świąt, wyrzekł się stanowczo wszelkich usług gospodarskich, sąsiedzkich. Podczas zimy i wiosny, mając czas wolny, jeździł do popa, djaka, nauczyciela, nawet do pobliskiego miasta, gdzie miał znajomego urzędnika, by porozmawiać z rozumnymi ludźmi i znaleźć rozwiązanie męczących go zagadek. Przyjaciół mówi mu: „lepiejbyś poszedł do miasta, albo do klasztoru... Dobryś człowiek, a ciebie nie lubią, djablem nazywają. W spółnocie żyć, to znaczy żyć w jednym grzechu, w jednych zasługach! Kto chce oddzielnie sam dla siebie żyć, niech idzie do miasta“. W spółnocie poczęto się klócić, wszczęły się domaganie nowego podziału ziemi. Strogi oddał swój nadział w dzierżawę, a sam jeszcze bardziej się usunął od spraw gminnych. By dokuczyć Stro-

giemu gmina wybiera go na setnika. Poi gminę, zmieniają uchwałę. Nie na długo, bo aby znów mu dokuczyć, obierają go sołtysem. Znów upaja gminę (a to było przekroczeniem jego zasad), wykupuje się z niej i jedzie do miasta. Przed odjazdem śni mu się czas robót. Święto. Inteligencja wiejska zwołuje włościan na pomoc, t. j. robotę, wynagradzaną tylko traktamentem. Do ojca djakona, do popa, do wójta, doskonały traktament i dyska gościńca! Do pisarza, potem w sprawach pomoże! Do Marka, handlarza zbożem, każdej dziewczynie kolorową chusteczkę ofiaruje, a wódki da ile wlezie! Do dziedzica, Bóg zapłać powie i da czterdziestówkę! Zmęczeni chłopci drzwi zamykają przed posłańcami. „Za ślub 5 rubli więcej, za pogrzeb rubla, za metrykę pół rubla dodacie“. „Oddawajcie długi, woła djakon lichwiarz. Oddawajcie zboże, coście u mnie pożyczycy, natychmiast“... I idą, bo muszą iść, a wieczorem zmęczeni i pijani wracają do domu. Spotykają Strogiego. „A tyś gdzie był, czemuś z nami nie chodził. Wdowie biednej pomagałem, a po co miałbym tam chodzić, gdzie wy, wódki nie piję, nikomu nie jestem winien, sprawiedliwie żyję“. „A, ty wdowom pomagasz, i my byśmy chcieli wdowom pomagać! Ty nie trzymasz się wszystkich. Jam winien kupcowi, a dlaczego? Prosiłem o pożyczanie zboża, masz pełny śpichlerz, a nie dałeś. Bijcie go, łapcie“. Taką była ostatnia noc, którą spędził Strogii na wsi. Wyjeżdżając do miasta zabrał z sobą Piotra, bohatera powieści *Ustoi*.

Kiedy Piotr wyrósł u surowego krewnego, ten odwiózł go do Moskwy, by szukał chleba. Tu miesz-

kał razem z artielą (spółką) robotników swojej wsi. Ponieważ był zdolny i pracowity, wkrótce znalazł miejsce u kupca i nieźle mu się wiodło. Przywódca spółki z którą żył Piotr, był gotów dla niej iść w ogień i wodę. W trudnych okolicznościach bronił spółki w następujący sposób. W nocy zjawia się policja: „Kto przywódca? czy paszporta są, psiewiary? Złodziejów ukrywacie?“. Stójkowy bierze przywódcę za czuprynę. „Zmiłuj się, wasza wielmożność, woła przywódca, rzucając mu się do nóg“. „Ej wy, bydlęta, wyłażcie! Paszporta dawajcie! Stawajcie do rachunku!“. „Wasza wielmożność, zaczekaj chwilę“— szuka, przewraca w kufrze, później wsuwa coś stójkowemu do ręki. Burza mija! By dogodzić stróżowi porządku publicznego, robotnicy łapią pijaną babę, a sadzając na śnieg, przykładają jej zimny kompres, Piotra szturchając, który z obrzydzeniem zdaleka się temu przypatrywał, ciągną by im pokazał jaką sztukę... Piotr ucieka. Postanawia zerwać ze spółką, szuka innego mieszkania. Znajduje pokoik umeblowany przy „porządnej familji“. Drogo jest dla niego (5 rubli), ale czysty, spokojny, porządny, staruszka z pończochą, gospodarz porządny z fajką w zębach, panienki. O czym one rozmawiają? Jak żyją? Co czytają w książkach? Wszystko wiedzą, mogą dać radę dobrą. Na prawie się znają, z naczelnikami są znajomi, czasem możnaby coś dla swojej wsi skorzystać. A przedewszystkiem żyją porządnie. Bijatyk, pijatyk, łajaniny, błota nie będzie. Ci stójkowi, cyrkułowi i komisarze wymyślać nie będą. Nikt w twarz nie plunie, nie skrzyczy! Nikt z głupią i pijaną mordą nie wlezie, nikt nie popłacze cię z pijanym, brud-

nym chłopem. Nauczyć się można... ich wszystkich uczą, czy chcą, czy nie chcą. Gdy odmykał drzwi, myślał że go wypędzą, ale ponieważ nie wygnali, choć było dla niego za drogo, wziął pokoik „przy porządnej familji“. Tam wpada w kółko hulaszczycy studentów, którzy się bawią tym człowiekiem z ludu, uczą go trochę i t. d. Głupota panów i niesumienność względem powierzonych przez Piotra pieniędzy przyspieszyła klótnię. Piotr robi awanturę, dostaje się do policji. Idzie do swojej spółki, lecz tam trafia na oburzającą scenę rozprawy policyjnej. Na zawsze więc znowu ucieka ze spółki. W trzeciej części *Ustojów* przedstawiono działalność Piotra na wsi. Żeni się, skupuje ziemię. Autor obiecuje nową część, w której odtworzy społeczną jego działalność, jako „nowego człowieka na wsi“. Jak dotychczas nie pokazał Zlatowratskij zasadniczej różnicy, pomiędzy działalnością jego, a innych bogatych włościan.

Jeżeli zestawimy Jermiła, Strogiego i Piotra, to się okaże, że w każdym z nich w rozmaitym stopniu i w rozmaity sposób ujawniają się najpierw indywidualizm, poczucie i pragnienie swobody, aby za nikogo nie odpowiadać, nikomu za nic nie dziękować, nie zobowiązywać się. Drugą cechą jest w nich coraz wyraźniej i wspanialej rozwijające się poczucie godności osobistej. Osobliwie Piotra nazwałbym nowym typem na wsi, jako ucieleśnienie poczucia godności osobistej, które po reformie włościańskiej zaczęło kielkować pomiędzy ludem, jako jeden z czynników jego rozwoju duchowego. Z początku to uczucie było zbyt słabe, teraz coraz więcej wzrasta w siłę i już wyjada takich Piotrów. Im prędzej to roz-

szerzy się pomiędzy całym ludem, tem prędzej lud poczuje się zdolnym do inicjatywy samodzielnej. W Ustojach są pyszne typy starców, co idą przekładać krzywdy gromadzkie przed zwierzchnością, chociaż z doświadczenia wiedzą, że i dla sprawy korzyść nie będzie wielka, a sami napewno więzienia nie ominą.

ZNIŻENIE IDEALU

*Moja chata z kraju, niczoho
nie znaju.*

Przysłowie ludu rusińskiego

Zdala od zgiełku światowego, od walk ciągłych areny, gdzie ludzie nie są wzajemnie siebie wspierającymi braćmi, lecz wrogami zaciętymi tylko o tem myślącymi, jakby jeden drugiego zepchnął z lepszego na podrzędniejsze stanowisko i samemu na niem stanął; zdala od tych wirów egoizmu, podstępny, fałszu, obłudy, często mordu i krwi jest schronienie ciche, schludne, gdzie nas nie obryzga błoto występku, gdzie się ukoj serce nasze, zbolełe od niestannych obrazów nędzy i poniżenia ludzkiego, widokiem szczęścia, miłości i oddania się wzajemnego. Tam szczęście chociaż ogranicza się do ciaśniejszego kółka, ale za to my wcielamy się w to kółko jako organiczna jego część, dzielimy najzupełniej jego dolę, a wtedy ono zasłoni przed nami i łączy całego świata i szczupłość naszej ku ogółowi miłości, wynagrodzi bezmiarem poświęcenia i troski o nasz spokój i nasze dobro. To kółko — matka, ojciec, czuli małżonkowie z dziećmi swojemi, bracia i siostry, słowem, rodzina skromna, pracowita, oszczęd-

na, mieszkająca w małym, lecz schludnym domku, wycackanym staraniami chędogiej gospodyni, kochającej żony i troskliwej matki.

Tyle jest szczęścia i spokoju, ile się go znajdzie w rodzinie, poza tym obrębem napróżno go szukać. Czyje zaś serce boli na widok nędzy materialnej całych mas lub na widok nędzy moralnej, ten na równi z pijakiem karczemnym, awanturnikiem, obieżyświatem, szczęścia nigdy nie znajdzie, bo jak oni nie chce się zamknąć we własnym kółku, zatarasować swe drzwi przed tłumem ulicznym i przystabować okienicę, by nie słyszeć przeciągłych nędzy i biedy zawodzeń.

Jakiej wartości jest takie pojęcie o szczęściu?

Trudno orzekać, czy świadczy o złej czy o dobrej stronie natury ludzkiej, jak wogóle trudno wymagać od wszystkich bohaterstwa, poświęcenia się i ofiar. Ale jedno stanowczo można powiedzieć, że ludzie, żywiący takie pojęcia, stoją na dosyć niskim poziomie rozwoju człowieczego. Warstwy ludowe inaczej nie rozumieją szczęścia, jak tylko w ten sposób. Matus sądzi, że będzie zupełnie mu dobrze, gdy z rodziną swoją, pracą uczciwą lub przypadkiem również uczciwym (np. wygraną na loterji), stanie na stanowisku materialnem, pozwalajacem mu zaspakajać dotychczasowe potrzeby. Byle w jego chacie panował spokój, porządek i statek, o nic więcej niedba i o niczem nie myśli, bo wtedy zupełnie będzie szczęśliwy! Ale ludzie wyżej wykształceni wiedzieć powinni i wiedzą, że takie szczęście wyodrębnione, zastale, zakopane, jest kruche i nietrwałe i dla cokolwiek rozgarniętego umysłu a tkliwszego serca wprost nie-

możliwe. Z jednej strony byt rodzin zawisł od całego ustroju społecznego i kataklizmy, ścierania się mas ludzkich, ciągle wyrzucają grom po gromie, które niszczą do szczętu owe ustronia — mrówek lub bobrów pracowitością wzniesione — na lodzie. Z drugiej zaś, jakkolwiek mocno zatarasujemy swoje drzwi, jakkolwiek odgradzimy się szczelnie od całego świata, to jednakże nigdy i żadną miarą o tyle, by nie mieć już żadnych z nim stosunków. Jad nieszczęść powszechnych zatruje sumienie cokolwiek podnioslejszych jednostek i w kółka rodzinne wkradnie się dysharmonja moralna. Z tej przyczyny, umysły krytyczne i serca podniosłe powiadają: nie znajdziesz szczęścia na ziemi, lecz możesz go pragnąć i dążyć do niego; szczęście jednostki zależy przedewszystkiem od szczęścia ogółu; gdy to osiągnięciem zostanie, wtedy ustalą się warunki, w których i ty będziesz mógł być szczęśliwym o tyle, o ile to jest możliwe na ziemi. Teraz zaś zadowolniaj się szczęściem względnem, stawaj w szeregi walczących o dobro ogółu i szukaj pociechy w tem przeświadczeniu, że pracujesz dla przyszłych pokoleń.

Jeżeli wyrazem ideałów społecznych nie życiowych, a że tak powiem teoretyczno-wyznaniowych, jest literatura, to w takim razie można utrzymywać, że jeszcze do niedawna poziom naszych pojęć o szczęściu był na tej wysokości. Najwspanialszy wykwit poezji polskiej wogóle i poezji Mickiewicza, w szczególności: Improwizacja z *Dziadów* jest okrzykiem bólu wszechludzkiego. *Nieboska Komedja* Kraśńskiego stawia proroczko kwestję proletariatu i obrzuca pogardą ideał szczęścia mieszczańskiego w po-

staci żony poety. Następca wulkanicznych romantyków, skromny skowronek nadniemeński Syrokomla, powiada (w 1849 r.):

Nie wstąpi życie w jednostkę sierocą,
Iskrę żywota w uczucia zamożną
Z serc tylko bliźnich rozplomienie można

Ach, czuję, czuję że jednostki lono
Z dołą ludzkości ściśle zespolono

Ach, czuję ból w sercu—o wielki Jehowo.
Ulżyj ludzkości, a będzie mi zdrowo...

Ten sam skowronek rzucił może najpotężniejszy w naszej literaturze sarkazm na szczęście mieszczańskie w swojej Niewinnej duszyczce:

Cóż ci do tego,
Że tam gdzieś lzy biegną,
Że nędzarz w lachmanach się tuli —
Od cudzej zlej doli serduszko nie boli.

To głupcy, co cię ze snu wyzuli
I dzielą się z nami
Radością i łzami.
Prawdziwa mądrość—to luli i luli!
I nie dziw, że płaczą,
Że jęczą z rozpaczą,
Patrzac na świat—swe szczęście zatruli.

Czyż dzisiejsze starsze pokolenie literackie miałyby się wyrzec tych ideałów? Ono, któremu przodują tacy zapaśnicy dobra powszechnego jak Kraszewski, Zacharjasiewicz, Orzeszkowa, Jeż i inni. Zdawałoby się, że nie, bo przecież już samo wykształcenie nie powinno do tego dopuścić. Najwięcej utalentowaną

i najwyraźniej formułującą ideały społeczne współczesne ze strony pozytywnej, jak i negatywnej, zdaje mi się, jest u nas Orzeszkowa. Czytajmy jej wielokrotne i wszechstronne analizy czczości i demoralizacji życia szlachty naszej, gdzie z taką werwą wykazuje, iż przyczyną tych zjawisk jest sobkostwo w wychowaniu i brak społecznego zainteresowania się w życiu. Czytajmy końcową scenę *Pana Graby* (1872 r.), gdy ten przynosi skradzione swej żonie klejnoty w zastaw do lichwiarza żyda: „Ja, powiada żyd, znalazłem siły do długiego życia i zapełniłem czczość jego, bo noszę w sercu mojem wielką miłość narodu mojego, a po mojej śmierci on będzie mnie błogosławił, a ty, panie, czujesz pustkę w głowie i chłód w sercu, bo nie kochasz narodu swojego, a po twojej śmierci ten hańbą imię twoje okryje; więc ja żyd, lichwiarz, gardzę tobą szlachetnie i w dostatkach urodzonym panem Grabą“.

A jednak faktem jest, że pokolenie, które nas obecnie wstępujących w szranki literackie wykołysało, obniżyło ideał szczęścia. Najwięcej poziomy ze starszych naszych powieściopisarzy pod względem ideału szczęścia jest Zacharjasiewicz. Wszystko, co nie zamyka się w ciasnych ramkach cnót domowych i cnoty najwyższej, t. j. pokory ducha (pokorne ciele dwie matki ssie!), uosabia się w takich postaciach, jak Hugo z *Renaty* (1858), „dobroczyńca ludzkości“. „On nie chciał w oceanie czasu zaginać marnie jak ziarnko prochu, jak giną miliony, on chciał wraz z innymi sięgnąć na rydwan pędzącego czasu, chciał toczyć dalej koła jakiejś nowej idei. Wymarzył sobie ideał i w nim się rozkochał. Była to ludz-

kość, cała ludzkość! Dla tego ideału chciał się poświęcić“. Naostatek zawarował — wyleczył się i ożenił z Mańcią. Co do kwestji przez nas rozbieżnej, narówni z Zacharjasiewiczem musimy postawić M. Bałuckiego, aczkolwiek sympatycznego dla nas z wielu postępowych poglądów. I u niego najwierniejsze i jak opoka pewne schronienie od burz i niepoko-
jów życia, dla bohaterów dążących notabene do osobistego zwykle szczęścia (więc jeszcze gorzej niż u Zacharjasiewicza), jest gdzieś w zaciszu czekająca ich wierna i czuła kochanka lub żona. O Kraszewskim trudno coś stanowczegoc powiedzieć, gdyż jego ideały są niepochwytne. W Chacie za wsią dzielny i śmiały, w Morituri jeszcze jako tako, a Szalona łącznie z książeczką ludową o pracy to chyba jest blichowanie gipsowych naszych pojęć, by świeciły jak szych. Honoru swego pokolenia bronią chyba Orzeszkowa i Jeź! Lecz od kilku ostatnich lat, starsze falangi naszych literatów widocznie powzięły zamiar obniżenia społecznego ideału. Hasło dał nasz proteusz literacki wspomnianą wyżej Szalona. Czy pamiętacie bierną duszyczkę siostry Szalonej, co ma więcej łez na oplakanie jej zbroczeń z dróg prawowiernych, niż człowiek porządny śliny na oplwanie fałszu i obludy? Czy się podobał wam cny adorator Szalonej, który się bodaj na to tylko urodził mężczyzną, by się ożenił i prowadził życie obywatela wiejskiego w najgorszem znaczeniu tego wyrazu? W ślad za Szaloną ukazały się Widma i Sylwek Cmentarnik. Zapewne wraził się wam w pamięć ów energiczny sarkazm, na jaki tylko p. Orzeszkowa zdobyć się może, gdy

opiekun ludzkości nie chce pomyśleć o losie swej matki, a sam się naiwnie dopytuje: co to za ludzkość taka, zapewne bardzo piękna panienska, skoro synalek dla niej zapomina o matce. Dorzucił do tej sprawy i Jeź kamyczek w noweli dodatkowej do *Ogniska*, Orzeszkowa prowadzi nieustannie ja dalej (*Bańki mydlane*). Jednym słowem, powstał widocznie stały kierunek, obiecujący i na przyszłość rodzić właściwe sobie owoce. Oby nie był ostatnim wyrazem pokolenia, na którego miejsce już obecnie występuje świeży zastęp sił literackich! W roku bieżącym do świeżo fundowanej skarbonki „cnót familijnych“ przybył grosz wdowi p. M. Bałuckiego pod tytułem 250.000. Wszystkie typy tej powieści są już nam znane z uprzednich utworów autora. I państwo i pański dziad Lipczyński i jego córka przedajna Augusta i porządny szewc Ignas i zacne miejskie dziewczyny, do kochania stworzone: Józia i Teklusia i swarliwa matka Tarchała i sam bohater p. Tarchała, nicpoń bez charakteru, czci i wiary — wszystko to są rzeczy stare, oprócz jednego szczegółu, że pijak i awanturnik karczemny Tarchała, będąc nędzarzem wskutek lajdactwa, wyrzeka na bogaczy i na niesprawiedliwość ustroju, w którym tylko bogaci używają. Tarchała posiadał 250.000, teorie swe rzucił (jakie teorie — pijane gadaniny?), szczęścia nie znalazł, a to wszystko gwoili temu, by tem barwniej wydało się prawdziwe szewckie szczęście Ignasia i Józki, skrzętnych, oszczędnych, którzy o świecie nie wiedzą i o których świat nie wie.

Zniżenie skali moralnego ideału naszej inteligencji było naturalnym wynikiem przejść społecznych, po-

ciągających za sobą obniżenie poziomu naszych aspiracji w życiu. Ludzie pragnący wiele, mimowoli jeżeli nie życie to przynajmniej swoje przekonania moralne dostrajali do wysokości swych żądań; natomiast zwiedzeni — zapragnęli, jako jedyne szczęścia, by ich w spokoju zostawiono. Do tegoż poziomu spadł ideał moralny! Puszczal najgłębiej korzenie w gniazdo ojców swoich, aby żaden wichur nie wyrwał ich stamtąd — oto marzenie już dwóch z rzędu naszych pokoleń. Doskonale zrozumiał Syrokomla sytuację, gdy w cytowanej już modlitwie powiedział:

...Bliźni moi, jako kwiat w posuszy,
Cierpieniem zbici, zamarli na duszy,
Złani krwią, potem lub łzami gorzkiemi,
Jako mech leśny przyrośli do ziemi,
Dali swe prace dla dumy lub zysku.
O! nie żyć sercu w poziomem mrowisku,
Ani wyrosnąć wśród głuchej pieczary
Nasion miłości, nadziei i wiary...

Dość wspomnieć znane fakta, a stanie się to prawdą, że społeczeństwo nasze zupełnie się dostroiło do ideału szczęścia mieszczańskiego. Nie ckliwym, lecz powabnym wydaje nam się spokój beznamiętny zakątków schludnych, parkanem egoizmu odgradzonych od reszty świata, a duchy szukające, jako koniecznego warunku do swego osobistego szczęścia, dobra ogółu, wydają nam się śmiesznymi donkiszotami. A jednak chybaż takie wypaczenie ideału jest chwilową chorobą! Przecież my wszyscy czujemy dobrze, że szczęście nasze osobiste jest nierozzerwalnie związane ze społeczeństwem, do którego należy my. Głęboko też wierzymy w to, że starsza brać lite-

racka żyje dla ogółu, oddycha jego nadzieją i w jego potrzebach czerpie swe siły do życia. Społeczeństwo nasze wskutek zrozumiałych warunków, zawarło kompromis z rzeczywistością, obniżyło poziom swych praktycznych wymagań. Zacharjasiewicz wynalazł odpowiednią moralność, idealizując aplikantów sądowych, marzących o społecznej działalności wtedy, gdy będą mieli z półtora tysiąca rubli pensji (O m a n k a) oraz szlachtę, tych „oficerów armji chłopskiej“, po których wygubieniu zginęłoby i wojsko (N a k r e s a c h). Orzeszkowa i Jeż, godząc się z twardą rzeczywistością, przecież ideał moralny starali się utrzymać na wysokości!

Lecz teraz w szranki życiowe wstępuje już dorosłe młode pokolenie, które chociaż wdzięczne starym swym przewodnikom, nie myśli jednak iść na ich pasku. Podniosło poziom wymagań praktycznych od szczęścia i poziom ideału moralności. Na swych proporcjach wypisało: szczęście jednostki jest nierozzerwalnie związane ze szczęściem społeczności, a szczęście tej jest nierozzerwalnem ogniwem człowieczeństwa. Jest to ideał, jaki widzieliśmy, epoki romantycznej, tylko naukowo pojęty i w praktyce inaczej zastosowany. Moc sił młodych, zdrowych i energicznych porzuciła sztandary, trzymane przez naszych „ojców“ i poszła za nimi. Ci ojcowie z miłości dla swego społeczeństwa, bojąc się rozdrabniania sił i tak już u nas wielkiego, bojąc się by młodzież nie weszła na manowce, rzucili się do jej apostołowania, do nawracania. Sądzę, że się nie mylę, twierdząc, iż specjalnie dla młodzieży autorowie przeznaczali powieści, o których wyżej była mowa.

Przerachują się jednakże szlachetni zapaśnicy o dobro ogółu, gdyż ciosy ich nie młodzież osiągną, lecz zupełnie kogo innego. Nasze młode pokolenia — musimy wyznać otwarcie — wychowują się bez żadnego wpływu ze strony prądów literackich, panujących u nas podczas ich kształcenia się, to jest w wieku najwrażliwszym do przejęcia się ideałami. Uczą się na niwie obcej, lub jeżeli nawet na swojej, to pod obcym wpływem; wszystko co szlachetne, przyjmują nie w formie zafarbowanej lokalnym kolorytem, lecz jako ideał wszechludzki. Chcąc więc z tem pokoleniem dojść do porozumienia, nie można mu stawiać jako wzór obrazu ślimaczej odębności. Te powieści więc z ich ideałami nie doprowadzą wcale do porozumienia między dwoma pokoleniami literackimi, a oprócz tego mają jeszcze stronę bardzo szkodliwą, którą zapewne przeoczyli ich autorowie. Mianowicie przeszkadzają do porozumienia się pomiędzy młodem pokoleniem a publicznością. Młodsze pokolenie, dla którego były przeznaczone, nie przyjmuje ich, lecz za to społeczeństwo przeciętne skwapliwie je chwytą, bo już oddawna oczekiwało tak wyraźnego sformułowania swych cichych pragnień i energicznego potępienia niezgodnych z nimi przejawów. Należy być ostrożnym!

Wiadomo, jak ważną rolę odgrywają społeczne pojęcia o dobrem i złem i pragnienia duchowe mas całych. Gdy nasza publiczność przesiąknie przekonaniem, że „szczęście jednostki nie jest ściśle związane z dołą ludzkości“, gdy to przekonanie sformułują dla niej i usprawiedliwią zdolne pióra (oby to nigdy nie miało być miejsca!)... wtenczas, panowie,

nietylko od nas odwróci się, lecz i was nie zrozumie, bo i wy życiem waszem i dziełami stwierdziliście, że nie możecie być szczęśliwymi inaczej, jak tylko w harmonji ze szczęściem ogółu. Pani Orzeszkowa np. dierży wysoko poziom moralności społecznej, dlatego też koło niej kupi się młode pokolenie. Lecz nie ono rozczytywało się w znanym jej romansie *Widma*, tylko szlagonerja, która z prawdziwą rozkoszą dotychczas wytyka przy każdej sposobności młodzieży: patrzcie, oto co o was mówi sama wasza przewodniczka!

Panowie ze starszego pokolenia! ideały nasze są bardzo pokrewne; może w najostatniejszej konsekwencji wspólne. Nie profanujmy więc ich, a wy w walce z nami nie stawiajcie pocziwego sobkostwa jako czegoś lepszego od naszego pozytywnego, ale nie poziomego przecie życia. Zupełnie są sprzeczne praktyczne środki, których chwytamy się wy i my w imię swych ideałów. Chcecie nas nawrócić, chcecie do nas przemawiać, ale złą drogę obrałiście! Chociaż nie wiem czy jest możebne pomiędzy nami porozumienie, w każdym razie zwracając się do nas, nie obniżajcie ideału szczęścia. Szydźcie z przejawów romantyzmu w życiu i „egzaltowanego marzycielstwa“, lecz nie ruszajcie samej idei, a młode pokolenie wam wdzięczne będzie, bo korzyści tylko z tego wyciągnie. Oko krytyki nie pozwoli jej rąk opuszczać, a ogień sarkazmów oczyści ją od wielu wad dziedzicznych i nabytych.

NADPRODUKCJA INTELIGENCJI

*Odpuść im Panie, albowiem nie
wiedzą co czynią.*

Nowy Testament.

Gromowładny Jowisz warziński Bismark w jednej ze swych mów, wygłoszonych przed kilku dniami w parlamencie niemieckim, wskazywał, jako przyczynę niepokojów i nieszczęść ludów słowiańskich, hyperprodukcję inteligencji.

Można się roześmiać z powodu tego paradoksu.

Ale to jest rzecz pewna i ciekawa, iż zdanie kanclerza niemieckiego jest zgodne z przekonaniami w tym względzie niektórych stronnictw w najoświecieńszych krajach słowiańskich — w Rosji i u nas. A oto dowód: niedawno, zupełnie niezależnie, a prawie równocześnie dwie prasy, zazwyczaj siebie ignorujące, dyskutowały kwestję nadprodukcji inteligencji i podzieliły się względem niej na dwa, prawie takie same obozy i do bardzo podobnych doszły wniosków.

W roku przeszłym i początku bieżącego, prasa rosyjska gorąco zajmowała się sprawą inteligencji, traktując ją bardzo namiętnie, wśród krzyżujących

się z obu stron inkryminacyj i podejrzeń. W roku bieżącym, prasa polska tę samą podniosła kwestję, nic naturalnie o tamtym nie wiedząc sporze, a przynajmniej niczego się zeń nie nauczywszy i rozstrzygając na odmiennem podścielisku naszych interesów partyjnych. W Rosji rzecz wszczęły *Wiedomosti Moskiewskija*, wykazując nadmiar inteligencji i szkodliwość tego objawu, a organ p. *Katkowa* podtrzymany był głównie przez *Ruś*. Oba te pisma są nietylko zachowawczemi, lecz i „pomieszczyczem”, t. j. bronią interesów wielkiej własności. U nas, podobne *credo* przed laty głosił *Czas*, obecnie zaś *magna voce* krzyczy *Niwa* — oba organa, nietylko zachowawcze, lecz i obywatelsko - ziemiańskie. Prasy obie unisono śpiewają jedną za Bismarkiem piosnkę z pruskiemi głosami!

Niwa zwraca uwagę na „hyperprodukcję naukową” i na jej szkodliwość społeczną dla naszego kraju.

Rzecz swą stawia tak.

Wystąpiliśmy ze sprawą naukowego proletariatu. Pod zbiorowem tem mianem rozumieliśmy cały ów istniejący u nas bezsprzecznie nadmiar dyplomowanych i niedyplomowanych wyzwoleńców najwyższych zakładów naukowych wszelkich fakultetów: lekarzy bez praktyki, obrońców bez klienteli, filozofów, filologów, matematyków i polityków bez katedr, zajęcia i chleba—bez punktu wyjścia i celu dojścia; zmarnowanych, skwaszonych, wykołojonych, słowem zbitych i rozbitych, ludzi do wszystkiego i do niczego!.. Zaznaczyliśmy więc hyperprodukcję na polu wyższonaukowem i to hyperprodukcję podwójną: 1) względnie do potrzeb społecznych, 2) względnie do moż-

ności społeczeństwa spożytkowania uczonych. Że pośród tej wielogłowej czeready rozdeklamowanych, rozbałamuconych i do niczego niezdolnych wielkości in partibus ani się podobna doszukać rzetelnego i oświeconego rzemieślnika, werkführera, maszynisty, ekonomy, leśnika, montera, że dzięki temu, nietylko w historii wiedzy ludzkiej społeczność nasza stanowiąc będzie zero, ale nawet na polu ekonomicznego dorobku, pomimo chwilowo przychylnych okoliczności, dla braku fachowo wykształconych ludzi postępujemy krokiem ślimaka, całe życie oddając obcym przybyszom¹⁾... Do tego dodać należy, że według Niwa genezą tego proletariatu jest „pycha, tak bardzo w społeczeństwie naszym rozpowszechniona“ a Nr. 219 tego pisma dobitnie rekomenduje nie pchać się do wyższych zakładów naukowych ludziom niezamożnym, którzy, po ukończeniu uniwersytetu, musieliby dla chleba szukać zastosowania nabytych wiadomości.

Zaprawdę, ani na chwilę nie przypuszczamy, aby Niwa skarżyła się na nadmiar u nas inteligencji, t. j. aby twierdziła, że za wiele mamy ludzi, którzy otrzymali dostateczne wykształcenie, pozwalające im rozumieć i zajmować się temi kwestjami, jakie obchodzą cały świat ucywilizowany. Przeciwnie, sama twierdzi, że „w historii wiedzy ludzkiej“ jesteśmy „zerem“ i gwoli temu dozwala nawet biednym dzieciom, o wybitnych zdolnościach, nie zważać na chłód, głód i nędzę materialną, lecz pchać się do przybytków wiedzy. Nie! Niwa tylko konstatuje fakt, że 1) to

¹⁾ Niwa 1884, Nr. 221.

nasi adwokaci, doktorowie i t. d. nie znajdują chleba; 2) przy trudnościach kształcenia się, zarabiając jednocześnie na chleb, mniej zamożni mniej gruntownie się kształcą i są przez to złymi fachowcami; 3) jeżeli więc ci poświęcą się przemysłowi, to najpierw nie będzie nadmiaru pracy inteligentnej, a powtórę przysporzą pożytku krajowi, wytwarzając przemysł swojski; 4) ludzie, mający byt materialny zabezpieczony, temi względami nie mogą być krępowani, bo nie stworzą „proletariatu naukowego“.

Zobaczmy, ile w tem wszystkim jest prawdy i o ile autor rozumie, o co rzecz chodzi.

Zauważmy tylko mimochodem, iż odpowiedni odcień prasy rosyjskiej nie odwoływał się do uczuć rodzicielskich i obywatelskich swoich czytelników, jak Niwa, lecz proponował środkami bezpośrednimi i pośrednimi uniemożliwić niezamożnym wykształcenie uniwersyteckie, np. zwiększeniem opłaty za naukę, zniesieniem stypendjów i t. d. Niwa tak daleko nie zaszła. Ale jest to rzecz bez znaczenia, bo wiadomo, że wszelkie nawoływania są głosem na puszczy, a takie środki w istocie jak proponowane przez prasę rosyjską wywarłyby wpływ. Jakiby to był wpływ, to już inna kwestja.

Jaka część społeczeństwa tworzy tę inteligencję, na której nadmiar nietylko się nie skarży Niwa, lecz nawet utyskuje na jej brak?

Był czas u nas, mianowicie aż do chwili zniesienia poddaństwa, że wykształconą i myślącą warstwę inteligencji kraju stanowiła szlachta, przynajmniej w przeważnej, górującej części. Wtedy, naturalnie, kwestja proletariatu naukowego i inteligencji nie

były identyczne. Lecz szlachta utraciła swoje stanowisko, a nawet i u nas, gdzie do tak niedawna była wszechpotężną, goni resztkami i niedaleką jest chwila, kiedy kapitał ruchomy będzie jedynym panem pozycji, a kapitaliści zastąpią miejsce szlachty. Lecz klasa kapitalistów, zmienna co do swego składu, nie może być wyrazicielką inteligencji. Skutkiem tych przyczyn, prawie cały ruch umysłowy przeszedł w ręce robotników inteligentnych, t. j. przedstawicieli takich fachów, które wymagają dużego wykształcenia specjalnego.

Tak tedy, jeżeli ongi mierzono oświatę narodu liczbą wykształconych umysłowo i moralnie ludzi i owocami ich pracy wynalazczej, to teraz oprócz tego wymiennika, jest inny, który jako więcej w oczy rzucający się ma nawet wyższość nad dawnym. Mianowicie społeczeństwo, posiadające większą ilość fachowców inteligentnych, będzie bardziej wykształcone, niż to które ich mniej posiada. Z tego powodu twierdzę, że w obecnych warunkach żądać zmniejszenia liczby fachowców inteligentnych, to znaczy pragnąć zmniejszenia poziomu oświaty w kraju, bo przedstawicielami jej są właśnie ci fachowcy.

Lecz prawdziwość zjawiska, które wywołało artykuł Niwy, nie ulega wątpliwości. Każdy wie, jak trudno obecnie znaleźć inteligentnemu fachowcowi zajęcie, i każdy się zgodzi, że przyszłość niewiele co do tego pozostawia różowych nadziei. Ażeby jednak położenie zarysować nie ogólnikiem „każdy wie“, lecz faktycznie, należałoby przytoczyć odpowiednie cyfry. Niestety, cyfr tych odnośnie do naszego kraju nie posiadamy. Pozwolimy więc sobie

pożyczyć je ze świeżo ogłoszonego artykułu w Otcieczestwiennych Zapiskach: Kapitalizm i praca inteligencji. Dotyczą wprawdzie Europy i Rosji, ale i tam i u nas stosunki, jakkolwiek nie te same, są zawsze mniej więcej zbliżone. Jeżeli zaś przypomnimy sobie powyżej przytoczoną polemikę w Rosji i identyczność twierdzeń Rusi i Niwy, to przybędzie jeszcze jeden argument, zachęcający nas do przytoczenia tych mianowicie danych. A więc: lekarzy jest na 10.000 ludności w Stanach Zjednoczonych 16,24, w Szwajcarii 7, we Włoszech 6,1, w Anglii 6, w Austrii 3,41, w Niemczech 3,21, we Francji 2,91, w Rosji 1,6. Lecz jeżeli przyjmiemy pod uwagę rozlokowanie lekarzy po miastach szczególnie dużych, to okaże się, że niemało jest okolic w Rosji europejskiej, gdzie jeden lekarz przypada na 75.000, 50.000, lub najwyżej na 20.000 ludności.

A przy tem wszystkim w praktyce jest rzeczywistość straszna hyperprodukcja lekarzy. Tak np. w najwięcej oddalonych zakątkach, o miejsce ziemskiego lekarza, przynoszące 1.200 — 1.300 rs. dochodu zgłasza się na jeden wakans 20 — 90 kandydatów. W gazetach też nierzadko spotyka się wiadomości o ostatniej nędzy wśród młodych i szukających praktyki lekarzy, o śmierci dla braku chleba doktora medycyny, o tem, że doktorzy mają się korepetycji, przepisywania. Albo weźmy wyższe wykształcenie agronomiczne. Wiadomo, że nietylko u nas, ale w Rosji więcej jeszcze niż u nas, kultura ziemi znajduje się w najopłakańszym stanie, i koniecznie potrzebuje zastosowania zasad ścisłej i fachowej wiedzy. Autor wspomnianego artykułu zba-

dał los uczniów wyższej szkoły w Hory-Horkach (później przeniesionej do Petersburga) i Piotro-Razumowskiej w Moskwie. Z nich wyszło ogółem 936 agronomów i leśników, a gospodaruje tylko 182, z nich wielu pracuje jako właściciele majątków, najemników zaś, czyli rządców dóbr, jest tylko 103, t. j. 11%. Zupełnie tak samo rzeczy się mają co do nauczycieli i adwokatów. Nie znajdują często chleba, chociaż każdy widzi, że w stosunku do ludności jest ich u nas bardzo mało.

Jak zaradzić złemu?

Niwa powiada, że niezamożni powinni rzucić się do przemysłu, a nie pchać się do „filozofji“. Co przez to rozumie? Czy proponuje ludziom niezamożnym, zamiast prawa i medycyny, fachowe wykształcenie techniczne, czy w końcu pracę fizyczną zamiast umysłowej? Zdaje się, że to ostatnie, bo techniczne wykształcenie kosztuje o wiele drożej, niż ogólne; dlatego też rozmaite politechniki, instytuty inżynierów i t. d. obsaczone są prawie wyłącznie przez zamożnych studentów. Ale jest to tak samo inteligencja fachowa i nadmiar jej, względnie do popytu, u nas jest wielki. Powtóre, niezamożnym nawet Niwa nie będzie rekomendowała roli przedsiębiorców, bo na to trzeba mieć pieniądze. Zostaje więc praca fizyczna. Ale spójrzmy na rzeczy po ludzku. Kto się pcha do nauki? Tylko ten, którego rodzice, chociaż nie posiadają tyle majątku i kapitału, by nic nie robiąc mieli zapewnioną egzystencję, jednak stoją na tej stopie zamożności, że mogą opłacać koszta nauki. A teraz, kto u nas, w obecnych czasach, przeważnie, a nie wyjątkowo,

opłacać może koszta nauki? Czy przedstawiciele pracy fizycznej: robotnicy, czeladnicy, subiekci? Trzeba być ślepym, ażeby to twierdzić. Tylko właściciele przedsiębiorstw, warsztatów szewckich, krawieckich i t. d., i to nie zawsze, stoją na odpowiednim poziomie zamożności, a tych liczba, wobec liczby zatrudnionych rąk, jest bardzo niewielka. Reszta, w najlepszym razie, najwyżej dochodzi do tego, że robotnik, mający rodzinę, może swe dzieci posyłać zaledwie do szkółek elementarnych. Więc Niwa chce, by ci, co obecnie mogą w jakibądź sposób dać swym dzieciom wykształcenie gimnazjalne, a później ofiarować chociażby tylko grosz wdowi na drogę do wielkiego miasta, gdzie się znajduje przybytek wiedzy, by ci, zamiast kierowania swych dzieci na fachowców inteligentnych, gotowali im przyszłość taką, że wnuków swoich zobaczą poteranych w terminie, zaledwie umiejących czytać, bo przecież kwalifikując synów na robotników fizycznych, niczego więcej nie mogą się spodziewać!

Ale Niwa marzy nie o robotnikach wyłącznie fizycznych, tylko o „werkführerach, maszynistach, ekonomach, leśnikach, monterach“. Fakta z życia wzięte objaśniałyby ją i pod tym względem. Sam osobiście znam dużo, a inni zapewne nie mniej znają kandydatów praw co się jęli miejsca kancelisty za 25 rs. miesięcznie, skończonych nauczycieli, którzy utrzymują się z kopiejkowych korepetycyj, inżynierów i technologów uszczęśliwionych miejscem maszynisty. O innych fachach, na zasadzie obserwacji osobistej, nie mogę orzekać, tyle tylko powiem, że jeżeli skończony przyrodnik, który w dodatku, w cią-

gu trzech lat, studjował agronomję, nie wiedząc co ze sobą ma robić, przyjął miejsce w cukrowni za 50 rs. miesięcznie, wymagające kilkunastogodzinnej pracy dniem i nocą, rujnującej oczy (przykład mi znany), to chyba by natychmiast znaleźli się kandydaci i na werkführerów, leśników, monterów, ekonomów, gdyby było zapotrzebowanie, tembardziej, że tylu rozmaitych techników siedzi bez miejsca. A niewiele ich jest zaprawdę. Jednak wszyscy prawie niemają zajęć!

Napomknąłem w początku artykułu, że Moskiewskija Wiedomosti i Niwa wypowiedziały się jednakowo. Ponieważ Niwa nie dotarła do krańców konsekwencyj wynikających z jej życzeń, przeto i my nie odważymy się przypisywać jej samowiedzy i konsekwencji. Lecz w każdym razie mamy prawo wykazać wszystko, coby wynikło, gdyby jej życzenia spełnione zostały. Niwa nie chce „proletariatu naukowego“ i życzy, by kształcili się w fachach wyzwolonych tylko ludzie zamożni. Pod proletariatem nauka rozumie nie klasę biedną, lecz tych, którzy mają utrzymanie jedynie ze swej pracy. Właściciel małej własności rolnej nie jest proletariuszem, choć żyje nędznie, ale doktor, czerpiący utrzymanie jedynie z praktyki, jest proletariuszem, jeżeli nie posiada kapitałów procentujących. Jeżeli więc Niwa pragnie, aby do fachów wyzwolonych brali się tylko ludzie, posiadający kapitały procentujące, to innemi słowy w naszych stosunkach znaczy, aby owe stanowiska zajmowała liczna progenitura szlachecka. W one stare czasy, kiedy fachów wyzwolonych było nierównie mniej, a jedynemi przedstawiającemi duże

widoki i mogącemi zatrudnić liczne falangi fachami były: stan duchowny i urzędowanie, szlachta te farchy uzurpowała dla siebie. Że Moskiewskija Wiedomosti chcą zupełnie samowiednie reparować interesa szlachty monopolem fachów wyzwolonych, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Nie chcemy tego samego mówić o Niwie, tylko zaznaczamy, że konsekwencje jej twierdzeń dają jej aspiracjom podścielisko szlacheckie.

Dalszym i bardzo ważnym wynikiem aspiracyj Niwy jest monopol oświaty społeczeństwa w rękę szlachty. Jeżeli proletarjat naukowy jej posłucha, czy też zmuszonym będzie posłuchać i pokieruje swoje potomstwo na drogę pracy fizycznej, to przeciążenie pracą, brak środków na kształcenie dzieci i t. d. naturalnie nie pozwolą mu być wykształconym. Wtedy będzie istniał proletarjat tylko robotniczy, naukowego wcale nie będzie. Oświata, skupiająca się zawsze w gronach przedstawicieli fachów wyzwolonych, będzie zdobyła tylko szlachetnie urodzonych. Naturalnie, w praktyce nigdy tego być nie może, — jest to tylko nasze przypuszczenie z konsekwencyj Niwy. Co z tego wynikłoby? Oświata, sama w sobie, jest to właściwie suma wiedzy i wiadomości, obiegająca w społeczeństwie. Prądy zaś i kierunki myśli wytwarzają się przez starcie klas społecznych w narodzie. Szczególnie to widać na przykładzie teoryj społecznych. Każda klasa ma pewną ilość ludzi wykształconych, co reprezentują kierunki myśli, zgodne z interesami tej klasy, do której sami należą. Już mieliśmy w naszej historii inteligencję jednolitą, szlachecko - duchowną i źle na

tem wyszliśmy, bo wtedy myśl społeczna ignorowała interesu wszystkich innych warstw. Wracac do tego byłoby wielkim błędem — samobójstwem. Nie, nie należy więc niszczyć proletariatu naukowego, a to z tych powodów: 1) proletariatu naukowego, jeżeli jest gdzieś rzeczywiście, nie będąc związany wpływem interesów żadnej warstwy społecznej, może bezstronnie objaśniać społeczeństwo o przebiegu starc międzyklasowych; 2) proletariatu (naturalnie robotniczego) wszędzie jest przerażająca większość, a u nas, jeżeli jeszcze niezupełnie tak rzeczy się mają, to również tak samo będzie w przyszłości. Ponieważ położenie proletariatu naukowego jest dość podobne do proletariatu robotniczego, więc wolelibyśmy, by właśnie inteligencja składała się nie z ludzi mających utrzymanie z dóbr dziedzicznych. Więcejby w takim razie dbano o los większości społeczeństwa.

Gdzie spoczywa przyczyna przewyżki podaży pracy naukowej nad jej popytem? Czy w jakich specyficznych warunkach naszego społeczeństwa? Jeżeli weźmiemy pod uwagę niektóre, mające specjalniejszy charakter farchy, to po części bez wątpienia tak się dzieje. Lecz wogóle zjawisko to jest ogólnie ludzkie i wynika z warunków ustroju ekonomicznego społeczeństw spólczesnych. W Europie, wobec większej zamożności tłumów i wyższej ich kultury, farchy wyzwołone większy mają popyt, lecz podaż i tam również jest większą niż u nas. Przyczyną tego jest kapitał ruchomy, wszędzie i zawsze postępujący w ten sposób, że tylko w bardzo wyjątkowych okolicznościach popyt na pracę przewyższa jej podaż, zwykle zaś dzieje się naodwrot. To nie tylko stosuje się do

fachów inteligentnych, lecz i do pracy fizycznej jeszcze w większym stopniu. I my posiadamy stolarzy, ślusarzy i t. d., niemających roboty, a doczekamy się tego, że każdy wogóle fach będzie miał swoją tak zwaną armję rezerwową kapitalizmu — pauperyzm: robotników bez zajęć na bruku... bo sprzyja ją nam okoliczności i przemysł nasz kwitnie. Nie rozumiem więc, z jakiej racji Niwa rekomenduje zajęcie się pracą fizyczną zamiast umysłowej. Przecież i tam jest taki sam nadmiar, jak wszędzie. Jeżeli zaś jakiś szczęśliwy fach jeszcze teraz potrzebuje obcokrajowców dla swego obsadzenia, to pojutrze i tam ludzie uzdolnieni będą łaknęli roboty, a jej nie znajdą. Niwa powiada, że za dużo mamy adwokatów, nauczycieli, doktorów, literatów — ba! nawet pism i gazet. A my odrzekniemy, że za mało, a tylko, że są setki tysięcy ludzi, którzy nie mogą korzystać z porady adwokatów i t. d. i t. d., nawet nie mogą czytać Niwy, bo są za biedni, by ją kupić i by się nauczyć czytać. Za wiele w takim razie mielibyśmy i rzemieślników, w których szeregi zapędza Niwa uczonych. Najlepiej zaś byłoby powiedzieć, że za wiele wogóle mamy ludzi, bo w każdym najgorszym fachu są niemogący się zeń utrzymać, a nawet wprost nieznajdujący zajęcia. A więc w nędzy i niskiej kulturze ludu siedzi przyczyna, o której Niwa rozprawia, — a nie w „pysze naszej narodowej“, oraz we właściwościach tego ekonomicznego ustroju, jaki w obecnej chwili zawładnął całkowicie Europą, a i u nas czyni stale podboje i niewątpliwie wkrótce utrwali się na zgliszczach obyczajowego feudalizmu. Jest to orzech trudny do

zgryzienia, zle, którego przy obecnych warunkach usunąć się nie da. Z niem tylko rachować się trzeba.

Streszczę wszystko. Wbrew Ni wie twierdzić należy, że w imię dobra przyszłych pokoleń naszego społeczeństwa, jego rozwoju materialnego i moralnego, szeregi inteligencji powinni zajmować ludzie, którzy dla chleba powszedniego musieliby koniecznie szukać zastosowania w praktyce nabytych wiadomości, bo taki proletarijat naukowy nakoniec zrozumiałby, że jego hyperprodukcja jest w ścisłym związku przyczynowym z nędzą ludu.

T R E Ś Ć:

Przedmowa	V
Życie fikcyjne i obrzędowe (Przyczynek do studjum nad Deotymą i kierunkiem naszej literatury)	1
Miłość w sferze dostatków i estetycznych zachwyków	29
Marja Konopnicka: Poezje	49
Współczesna beletrystyka rosyjska	60
1. Gleb Uspienski	61
2. Mikołaj Złatorwski	80
Zniżenie ideału	113
Nadprodukcja inteligencji	124

WYDAWNICTWA

INSTYTUTU GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO

W WARSZAWIE, UL. CZERWONEGO KRZYŻA 20, TEL. 311-19

R - k czekowy w P. K. O. 12099.

<i>Drobny przemysł i chałupnictwo. T. I.</i>	15.—
<i>Fabierkiewicz W. Rosja Współczesna</i>	5.50
<i>Jastrzębski W. Organizacja pracy fizycznej</i>	5.—
<i>Korniłowicz K. Akcja społeczno-kulturalna w górnictwie angielskim</i>	3.—
<i>Kozłowski St. Warunki bytu pracowników bankowych w Polsce</i>	1.50
<i>Krahelska H. Łódzki przemysł włókienniczy wobec ustawodawstwa pracy</i>	1.—
<i>Krahelska H. Praca dzieci i młodocianych w Polsce</i>	2.50
<i>Krieger A. Ubezpieczenia na wypadek choroby w Polsce</i>	10.—
<i>Krzyczkowski J. i Sobierańska Z. Stosunki kredytowe wśród drobnej własności rolnej</i>	12.—
<i>Kuropatwińska M. Ogrody działkowe a kultura miast</i>	3.50
<i>Landau W. Izby Pracy</i>	1.80
<i>Landau W. Ośmiogodzinny dzień pracy</i>	3.50
<i>Landau W. Poglądy włościan na sprawę niepodzielności gospodarstw wiejskich</i>	2.70
<i>Landau W. Walka o bezpieczeństwo pracy</i>	5.—
<i>Moraczewska A. Wezasy robotnicze</i>	5.—
<i>Piltz F. Dochody mieszkańców Warszawy</i>	5.—
<i>Rosja Sowiecka pod względem społecznym i gospodarczym. Pod redakcją Prof. L. Krzywickiego. Część I i II.</i>	13.—
<i>Rosset E. Proletariat łódzki w świetle badań demograficznych</i>	3.50
<i>Rychliński St. Czas pracy w przemyśle polskim</i>	4.—
<i>Rychliński St. Marnotrawstwo sił i środków w przemyśle polskim</i>	6.50
<i>Sterling H. Międzynarodowa Organizacja Pracy</i>	1.50
<i>Sztetnerowa W. i Błaszczykowa M. Młodzież robotnicza w Austrii</i>	1.50
<i>Szturm de Sztrem E. Samowystarczalność Polski pod względem zbożowym</i>	1.—
<i>Szturm de Sztrem T. Bezrobocie w Europie dzisiejszej</i>	4.—
<i>Szturm de Sztrem T. Płace zarobkowe w okresie dewaluacji pieniężnej</i>	2.—
<i>Szturm de Sztrem T. Walka o płace zarobkowe</i>	2.—
<i>Urlopy wypoczynkowe pracowników drukarskich</i>	6.—
<i>Warunki życia robotniczego w Warszawie, Łodzi i Zagłębiu Dąbrowskiem w świetle ankiet 1927 roku</i>	15.—
<i>Zieliński J. Higiena Pracy</i>	9.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach